

MARSZAŁEK
ELŻBIETA WITEK:



ROKITA:
O SOCJALNEJ
OFENSYWIE
KACZYŃSKIEGO

CO NAM
SZYKUJE
TRZASKOWSKI?



„NAD NIEMNEM”
WIECZNIE
ŻYWE

BUDZISZ:
CO PO
ŁUKASZENIE?



SIECI

TUSK SZYDZI
Z WŁASNYCH
WYBORCÓW.
WSZYSTKO
MU SIĘ SYPIE

SIECI

NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE

Nr 21 (547) 2023
22-28 maja 2023

CENA: 8,90 zł
(w tym 8% VAT)



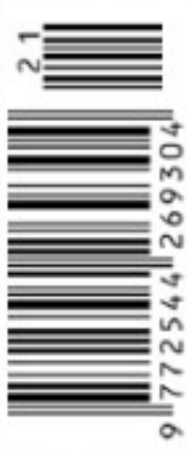
UJAWNIAMY:

MILIONY PRZECIW PiS

PiS
=
drożyzna

WIELKI BIZNES WCHODZI W POLITYKĘ.
CHCE POMÓC OPOZYCJI OBALIĆ RZĄD

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



9 772544 269304

Polska przyjechała, Polska pamiętała



Państwo polskie nie szczędzi środków i sił, by odnaleźć szczątki bohaterów pomordowanych przez Sowieców, Niemców i innych wrogów naszego narodu. I co ważne, nie ma u nas właściwie debaty, czy warto, czy nie za drogo, czy nie lepiej wydać na coś innego. Z tej postawy, ciężko wywalczonej przez pokolenia patriotów, możemy być naprawdę dumni. To coś, co nas mocno odróżnia od naszych bliskich sąsiadów, również doświadczonych komunizmem. Ale pamiętamy też o żyjących, tych rozrzuconych o świecie. Pamiętamy nie tylko o Polakach z urodzenia, lecz także o tych, którzy Polskę i polskość wybrali z własnej woli i dochowali wierności naszej sprawie w najtrudniejszych, najcięższych czasach.

Kilka dni temu w ambasadzie RP w Madrycie mieliśmy piękny przykład. Ministrowie Andrzej Der a z Kancelarii Prezydenta oraz pełnomocnik rządu ds. Polonii i Polaków za granicą Jan Dziedzic wręczyli Renacie Habsburg Lorenę de Zulueta wysokie odznaczenia przyznane jej rodzicom. Karol Olbracht otrzymał Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski, a jego żona Alicja Ankarcrona, Szwedka z urodzenia, Krzyż Komandorski. „Polska nie zapomniała! Polska przyjechała!” – powiedziała córka wyróżnionych, nie kryjąc wzruszenia. Z namaszczeniem ucałowała oba wręczone krzyże, po czym podkreśliła: „To jest bardzo polskie”. I zapewniła: „Zawsze będę pamiętała Polskę i nigdy jej nie zapomnę”.

Historia Habsburgów żywieckich jest bardzo ciekawa, ale skomplikowana i nie da się jej opowiedzieć w paru słowach. Dla nas ważne jest to, że na przełomie XIX i XX w. rodzina wybrała polskość. W czasie I wojny światowej ówczesny dziedzic dóbr, Karol Stefan, był najpoważniejszą kandydaturą do polskiego tronu w projektowanym państewku polskim pod kuratelą państw centralnych. Miał w sobie krew Piastów i Jagiellonów. Gdy sprawa upadła, rodzina z pełnym zaangażowaniem wsparła budowę niepodległej Rzeczypospolitej.

Najtrudniejszy egzamin zdała w czasie II wojny światowej. Karol Olbracht przyjął pierwszych Niemców w Żywcu w mundurze oficera Wojska Polskiego. Kilukrotnie odmówił podpisania volkslisty. Niemcom miał powiedzieć: „Moje pochodzenie jest niemieckie, moim macierzystym jest język niemiecki, ale mam obywatelstwo polskie i czuję się Polakiem”. Majątek zajęło więc gestapo, głowę rodu aresztowano, więziono, torturowano, prześladowano. Jego losem osobiście interesował się Himmler. Przed egzekucją uratowały go interwencje Habsburgów, zwłaszcza w Rzymie. Ale cena i tak była wysoka: utrata zdrowia, w tym oka. Alicja współ-

pracowała z ZWZ i AK, prowadziła nasłuch zagranicznych stacji radiowych. Została odznaczona Krzyżem Walecznych przez państwo podziemne. Obaj synowie walczyli w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Kazimierz Bardeni już po wojnie przyjął święcenia i imię Joachim. Po wojnie Karol i Alicja zdołali uciec z komunistycznej Polski do Szwecji. Tam zmarli w 1951 r. Dzieci rozjechały się po świecie, Renata wyszła za syna hiszpańskiego dyplomaty.

W liście, który do uczestników madryckiej ceremonii skierował Andrzej Duda, prezydent podkreślił, że odznaczenia są wyrazem wdzięczności za dzieje Habsburgów żywieckich – „pisane miłością do Polski”. A premier Mateusz Morawiecki stwierdził: „Swoim życiem Karol i Alicja pokazali, że ojczyzna z wyboru zobowiązuje bardziej niż ojczyzna z urodzenia”. Habsburgowie z Żywca wypełnili to zobowiązanie do końca, nie wahając się ryzykować własnym życiem. I dlatego dobrze, że Polska też wywiązała się ze swoich obowiązków, za co szczególne podziękowania należą się prof. Andrzejowi Nowakowi oraz mec. Krzysztofowi Góralczykowi, którzy uruchomili całe przedsięwzięcie.

Jacek Karnowski

Polska Fundacja Narodowa upamiętnia Radę Pomocy Żydom „Żegota”

Polska Fundacja Narodowa, mając na względzie pamięć o tych, którzy mimo braku szans na powodzenie zrywu chwycili za broń, i tych, którzy ich wspierali, stworzyła wystawę będącą kontynuacją projektu PFN poświęconego fenomenowi Rady Pomocy Żydom „Żegota”. Projekt ten jest realizowany w kooperacji z Archiwum Akt Nowych. Rada Pomocy Żydom przy Delegaturze Rządu RP na Kraj stanowiła jedyną w okupowanej Europie przykład organizacji rządowej poświęconej tylko i wyłącznie pomocy i ratowaniu Żydów.

„Okupacyjne prawo niemieckie w Polsce penalizowało pomoc udzielaną osobom narodowości żydowskiej i przewidywało karę śmierci dla osób ukrywających Żydów. Rada Pomocy Żydom »Żegota« prowadziła pięć rodzajów pomocy: legalizacyjną (ponad 50 tys. zdobytych metryk chrztu), finansową, mieszkaniową, lekarską lub dziecięcą, czyli pomoc dzieciom żydowskim. W Warszawie referat dziecięcy Żegoty był kierowany przez Irenę Sendlerową (ok. 2,5 tys. uratowanych żydowskich dzieci). Polska Fundacja Narodowa dzięki wystawie realizowanej wraz z Archiwum Akt Nowych pragnie przybliżyć bohaterów wydarzeń, twórców Żegoty i osoby, które ryzykowały życiem, udzielając pomocy współobywatelom pochodzenia żydowskiego. To kontynuacja naszych działań związanych ze wsparciem konserwacji dokumentów Rady Pomocy Żydom ze zbiorów AAN, wydania źródeł w pracy zbiorowej w języku angielskim i dystrybuowania ich do kilkunastu tysięcy bibliotek oraz do kluczowych historyków z Europy Zachodniej, USA i Izraela. To nasze zobowiązanie moralne, by pamiętać i upowszechniać pamięć o Polakach ratujących swoich żydowskich sąsiadów i współobywateli niezależnie od zagrożenia życia swego i rodzin” – tak o działaniach PFN z okazji 80. rocznicy powstania w getcie warszawskim mówił prezes Zarządu Polskiej Fundacji Narodowej dr Marcin Zarzecki.

Wystawa, której otwarcie nastąpiło 18 kwietnia, jest eksponowana na frontowym ogrodzeniu Archiwum Akt Nowych przy ul. Hankiewicza 1 w Warszawie. Jej ekspozycja w przestrzeni publicznej w przystępny sposób przybliży odbiorcom podstawowe informacje na temat organizacji, przedstawia ludzi, którzy ją tworzyli, zapoznaje ze sposobami pomocy udziela-

*19 kwietnia 1943 r.
w warszawskim getcie wybuchło
zbrojne powstanie przeciw
Niemcom. Było ono odpowiedzią
na ostateczną likwidację
żydowskiej dzielnicy przez
okupanta. Do walki stanęły
Żydowska Organizacja Bojowa,
Żydowski Związek Wojskowy
wspierane przez Polskie
Państwo Podziemne. Niemcy
brutalnie stłumili powstanie,
topiąc je we krwi. W rocznicę
wybuchu zrywu obchodzimy
w Polsce Dzień Pamięci Ofiar
Holocaustu i Powstania
w Getcie Warszawskim*

nej Żydom pod niemiecką okupacją, a także pozwala zapamiętać najważniejsze informacje dotyczące Żegoty. Ponadto ważną część wystawy stanowi prezentacja procesu konserwacji unikatowych dokumentów wytworzonych przez Żegotę w okresie jej działania. Polska Fundacja Narodowa sfinansowała również proces konserwacji tychże dokumentów, a także angielską wersję publikacji „Żegota. Dokumenty 1942–1944”, która jest wyjątkowym zestawem źródeł. Pozycja jest dystrybuowana do zagranicznych ośrodków akademickich.

„Polska Fundacja Narodowa aktywnie włącza się w projekty edukacyjno-oświatowe, kinematograficzne produkcje historyczno-narodowe oraz realizuje zróżnicowane spektrum działań zgodnie z celami statutowymi oraz nadrzędną misją, którą jest podtrzymywanie polskiej pamięci zbiorowej i kultury historycznej. Projekt zakładał przetłumaczenie na język angielski książki »Żegota. Dokumenty 1942–1944«, która jest unikatowym zestawieniem źródeł, większości do

tej pory niepublikowanych. Inicjatywa wydania w języku angielskim oryginalnych źródeł może stać się istotnym impulsem do dalszych badań nad dokumentowaniem pomocy udzielanej przez Polaków ludności żydowskiej w trakcie II wojny światowej. Ponadto prezentujemy wystawę plenerową, która ukazuje metody konserwacji i zabezpieczenia niezwykle archiwalnych dokumentów Żegoty” – powiedział wiceprezes Polskiej Fundacji Narodowej Michał Góras.

Otwarcie ekspozycji plenerowej, zrealizowanej dzięki współpracy Archiwum Akt Nowych i Polskiej Fundacji Narodowej, było połączone z pokazem materiałów archiwalnych Rady Pomocy Żydom „Żegota” przy Delegaturze Rządu RP na Kraj.

W ten sposób Polska Fundacja Narodowa czynnie uczestniczy w obronie dobrego imienia Polaków, którzy stanowią najliczniejszą grupę nagrodzonych medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata przyznawanym przez Instytut Yad Vashem za pomoc udzielaną Żydom w czasie II wojny światowej.

Wydarzenia prezentujące proces zabezpieczenia i konserwacji archiwalnych dokumentów dotyczących powstania w getcie warszawskim oraz ich ekspozycja stanowi część obchodów 80. rocznicy powstania w getcie warszawskim.

Sygnalista nadaje

🔊 Księżę Harry z małżonką Meghan Markle, mieszkający na co dzień w Los Angeles, udali się na galę do Nowego Jorku. Ich rzecznik ogłosił, że wracając z wydarzenia, para była rękoma przez ponad dwie godziny ścigana przez paparazzich, co niemal nie doprowadziło do katastrofy, kilku „prawie kolizji” z „udziałem innych kierowców, pieszych i dwóch policjantów”. Kłopot w tym, że policja tego nie potwierdziła poza normalną obecnością fotografów. Co więcej, dwugodzinny pościg po Nowym Jorku zdaniem ekspertów i mieszkańców jest niemożliwy z powodu potężnych i stałych korków. Wygląda, jakby chodziło o wywołanie tą dramatyczną opowieścią medialnego skojarzenia z tragedią księżnej Diany. Zawstydzające.

🔊 Dowód podwójnych standardów dał też Arnold Schwarzenegger, aktor, były gubernator Kalifornii, obecnie bojownik o klimat. Wyszło na jaw, że na konferencję klimatyczną do Wiednia pofrunął luksusowym, prywatnym odrzutowcem. Na zdjęciu widać, jak siedzi wygodnie rozparty w dużym saloniku odrzutowca. Ludzie się oburzyli, ale aktor spokojnie wyjaśnił, że lot był może i luksusowy, ale komercyjny, na regularnej linii, więc sprawy nie ma. W Wiedniu pewnie się zastanawiali, jakie jeszcze restrykcje nałożyć na maluczkich, by za dużo nie latali.

🔊 Wystarczy pozmienić nazwiska, a podobne historie znajdujemy w Polsce. Urzędnicy Rafała Trzaskowskiego masowo zwężają ulice, kasują miejsca parkingowe, spowalniają ruch i ogólnie przeganiają ludzi z samocho-

dów do komunikacji miejskiej, na rowery i hulajnogi. Sama idea, by mniej jeździć, więcej się ruszać nie jest zła, a najlepsza dla młodszych singli. Potem robi się trudniej, bo jak w naszym klimacie rowerem zawieźć żonę do lekarza, a dzieci do przedszkola? W każdym razie przydałby się tu dobry przykład i warszawscy radni PiS apelują do urzędników stołecznego ratusza, by sami zrezygnowali z aut, skasowali parkingi. Wierzymy, że się zgodzą. Na pewno nie chcą w życiu mieszkańców takich zmian, których sami by w swoim nie wdrożyli.

🔊 „Fakt”, jak to tabloid, sprawdził wydatki władzy i wyszło mu, że w ministerstwach kupują kanapeczki dla gości. Z wędliną i jajkiem. „To już jest jawne i dosłowne przeżeranie publicznych pieniędzy” – zagrzmiała posłanka Hanna Gill-Piątek (pogubiliśmy się co do tego, w jakiej obecnie jest partii). Uświadommy sobie skalę tej zbrodni, tego przeżerania: kanapeczki! W ósmym roku rządów obozu Jarosława Kaczyńskiego skandalem podnoszonym przez tabloidy jest to, że władza i jej goście zjedzą czasami kanapeczkę. Czują to państwo? Duży komplement.

🔊 Kanapeczkami wyborów się nie wygra, ruszyła więc nagonka na ministra obrony narodowej Mariusza Błaszczaka. To polityk, który wspólnie z Kaczyńskim, Morawieckim i Dudą radykalnie przełamał śmiertelnie groźną dla Polski niemoc w obszarze wzmocnienia armii, zbrojeń, przygotowania rezerw. Ta skuteczność jest problemem dla Rosji, a w Polsce kompromituje wielu

🔊 *Grupa rosyjskich hakerów zaatakowała w ubiegłym tygodniu kilka polskich portali, w tym wPolityce.pl. Jak twierdzą znawcy, w to medium uderzono szczególnie zaciekle, powtarzając działanie wielokrotnie, w skali dotąd niespotykanej. Krótkie i dosadne potwierdzenie, które środowisko i jakie medium Putin uważa w Polsce za szczególnie groźne dla realizacji swoich celów.*

ludzi, którzy twierdzili, że się nie da, a jedyną drogą zbudowania bezpieczeństwa jest trzymanie się nogawki Angeli Merkel i poddańcze hołdy składane Moskwie. W tej sprawie podział jest jasny: kto przykłada rękę do tego ataku – bierze udział w próbie ponownego rozbicia Polski. Warto mieć tego świadomość.

🔊 Tych nagonek nie należy lekceważyć. Potęga mediów III RP jest tak wielka, że potrafią niszczyć ludzi bez żadnej konkretnej podstawy, samymi tylko powielanymi w nieskończoność sugestiami. Tak było z posłem Łukaszem Mejzą. Rząd stracił wtedy ministra, ale poseł Mejza zaczął częściej komentować politykę, co wychodzi mu całkiem, całkiem. „Politycy PO są jak skorpiony z afrykańskiej przypowieści. W tej opowieści żaba zgodziła się przewieźć na grzbiecie skorpiona na drugi brzeg rzeki, ale w trakcie przeprawy skorpion śmiertelnie ukąsił żabę i razem utonęli, bo skorpion prędzej czy później ujawnia prawdziwą naturę. W naturze totalnej opozycji leży głęboka pogarda dla zwykłych Polaków” – stwierdził w rozmowie z portalem w Polityce.pl, dodając, że „wybór jest prosty: osiem stówek dla rodziny, albo osiem gwiazdek Tuska”.

🔊 To oczywiście w świecie, gdzie panują jakieś zasady, ludzie trzymają się jakichś wartości. W TVN wychodzi to najwyraźniej inaczej. „Na pomysły PiS złożą się podatnicy. Ci sami, którym inflacja za rządów PiS drenuje portfele. Jak łatwo sypie się pieniędzmi bliżej wyborów, o tym Maciej Knapik” – zapowiadała materiał na temat 800+ prowadząca „Fakty” Anita Werner. A kilka dni później, jak zwodu w tej sprawie dokonał Tusk, już się cieszyła: „Będzie waloryzacja i to na Dzień Dziecka, przed wyborami. Opozycja do pomysłu prezesa dorzuca swoje”. Radosław Fogiel z PiS skomentował: „Zapnijcie pasy, bo to niezły rollercoaster. Od stycznia – dramat, od czerwca – wspaniale”. My radzimy jednak trzymać się za portfele. Skoro tak cynicznie gra TVN, to jak cynicznie myśli ma w głowie Tusk?

🔊 Tak, tam musi się kotłować od bardzo złych emocji. Prezydent Białegostoku Tadeusz Truskolaski, wybrany z rekomendacją KO, podał dalej wpis internetowego trolla, w którym w odrażający sposób szydzono z postury dziennikarzy – Michała Kolanki, Piotra Semki i Tomasza Sakiewicza. „Waga ciężka” – dodał od siebie Truskolaski. Potem tłumaczył, że miał na myśli „ważność” dziennikarzy. Nas zastanawia bezczelność, z jaką twierdzą, że ich grubaski są piękne, prowadzą przeciw programy, występują w reklamach, a te z drugiej




strony są paskudne. Opozycja w Polsce to stan umysłu.

🔊 Potwierdzenie tej teorii znaleźliśmy w Krakowie na spotkaniu z **Donaldem Tuskiem** i **Rafałem Trzaskowskim**. Starsza kobieta porównała tam lidera PO do... św. Jana Pawła II. „Papieża Polaka pan nie przebiję. Ale po papieżu Polaku pan jest najmądrzejszy, najrozsądniejszy i jeden jedyny polityk!” – podkreśliła uczestniczka spotkania. Niestety, Tusk nie miał akurat przy sobie paszkwilanckiej książki wydanej przez zaprzyjaźnione z nim wydawnictwo i filmu zmontowanego w esbeckim stylu przez bliską mu stację telewizyjną, w których dowodzi się, że wielki Polak był w rzeczywistości obrońcą pedofilów. Pani by się ucieszyła.

🔊 Z religią ma też problemy pismo Adama Michnika. „Nie znoszę kleru, a tu komunizm” – martwi się redakcja w cyklu „dylematy apostatów i niewierzących”. W kolejnym odcinku proponują pewnie pierwszą komunię świętą bez księży, a Kościół bez Pana Boga. Tam czuli by się dobrze. Choć biorąc pod uwagę, że równocześnie podpowiadają młodym, by zamiast dzieci mieli psa („psiecko”) i założyli z nim „rodzinę międzygatunkową”, to dopiero początek szaleństwa.

🔊 Trudnych dylematów jest tam więcej. Seria artykułów poświęconych problemom prawnym brata jednego z liderów Konfederacji Sławomira Mentzena (brat ma zarzut kierowania grupą przestępczą działającą w obszarze hazardu) pozostaje w wyraźnym rozpięciu między chęcią przyłożenia Mentzenowi a obawami, że to „hak”, który PiS ma na Konfederację. Stare, dobre dziennikarstwo, które starało się opisywać świat obiektywnie, nie ma na Czerskiej już nawet cmentarza, to zjawisko tam zapomniane.

🔊 W tle niepojęty cynizm. **Tomasz Lis** w swojej książce ujawnił, co po stronie opozycji myślą o tak promowanej u Michnika twórczości Tomasza Piątka. „Osiąga imponujące rezultaty, stosując trochę wątpliwe metody. To znaczy – ponieważ znam Kowalskiego, Kowalski zna Malinowskiego, Malinowski był na wakacjach z Piprzyckim, a Piprzycki był w knajpie w Moskwie i widział doradcę Putina, to ja jestem agentem Putina. Sorry, to tak nie działa. To jest ryzykowna metoda, ale na końcu podają go do sądu i przegrywają. Przy tym wszystkim Tomek opisuje realny moskiewski co do genezy charakter rządów PiS. Wykonuje dobrą robotę”. Innymi słowy – według Lisa – manipulant, ale nasz. A komu z Rosją było naprawdę po drodze, kto jej czapkował, a kogo zamordowała, każdy wie. 

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Mateusz Zelnik



Wietnam ★

Na ratunek kawie

Arabiki, najpopularniejszego gatunku kawy na świecie może wkrótce zabraknąć albo stanie się ona drogim rarytatem. Ta odmiana, uprawiana na wysokości od 1200 do 2000 m n.p.m., gdzie powietrze jest rzadsze, temperatury niższe oraz jest mniej insektów i chorobotwórczych grzybów, źle znosi wahania związane z perturbacjami klimatycznymi. W 2021 r. niespotykane w Brazylii mrozy zniszczyły 200 tys. ha upraw arabiki, w Hondurasie spustoszenie spowodowały powtarzające się huragany, a w Kolumbii wahania opadów. W efekcie doszło do spadku produkcji i skoku cen.

Ale to, co jest czarnym scenariuszem dla jednych producentów, cieszy innych. Tak jest w przypadku Wietnamu, głównego światowego producenta robusty, mniej cennej (używanej przeważnie w kawach rozpuszczalnych i mieszankach) odmiany tej rośliny. Wskutek problemów Brazylii wartość eksportu wietnamskiej robusty znacząco wzrosła, a rząd w Hanoi chciałby przejąć większą część kawowego rynku.

Thuan Sarzynski, francuski agronom o polsko-wietnamskich korzeniach, od pewnego czasu pracuje nad nowymi krzyżówkami kawy, łączącymi łagodność i smak arabiki z odpornością robusty. *Coffea canephora*, znana jako robusta, zawdzięcza większą tolerancję na zmiany temperatury, insekty i choroby przede wszystkim wyższej zawartości kofeiny. W jej przypadku jest to 2,5 proc., podczas gdy w arabice jest to średnio 1,5 proc. Testowane krzyżówki są nie tylko odporniejsze, lecz także znacznie bardziej wydajne. Dają średnio dwa razy więcej owoców niż dotychczasowe odmiany.

Wietnam, który startował w 1984 r. z poziomu 0,5 proc. udziału w światowym rynku, do 18 proc. w 2020 r., jest dziś drugim na świecie producentem kawy. Ten spektakularny wzrost, który jest wynikiem systematycznej, prowadzonej przez ostatnie 30 lat polityki wspierania rolników specjalizujących się w uprawie kawy, powoduje, że obecne starania władz w Hanoi, subsydiujących wyhodowanie nowych odmian, wszyscy traktują bardzo poważnie. Bo jeżeli Wietnam osiągnie sukces, to z pewnością stanie się nowym liderem na kawowym rynku.

Marek Budzisz

Francja

Zielona pauza Macrona



Staniemy się wielkim narodem ekologii. Dziękuję, że mi „zaufaliście i wybraliście projekt humanistyczny, europejski, republikański, socjalny i ekologiczny” – oświadczył Emmanuel Macron w swoim przemówieniu po reelekcji na prezydenta Francji.

Teraz, niecały rok później, apeluje o pauzę we wprowadzaniu ekologicznych rozwiązań w UE. „Nie należy dorzucać kolejnych norm środowiskowych do tych już istniejących w ramach Europejskiego Zielonego Ładu” – zaznaczył. „Wolę fabryki, które spełniają europejskie standardy, niż ryzyko, że nie będzie już fabryk” – zadeklarował podczas szczytu „Wybierz Francję” w Wersalu z udziałem przedstawicieli francuskiego i europejskiego przemysłu.

Wypowiedzi Macrona wywołały zamieszanie w Brukseli oraz oburzenie wśród ekologów. Francuscy Zieloni (EÉLV) oskarżyli go o hipokryzję. „Chciał być najbardziej zielonym na całej planecie, ale rzeczywistość jest taka, że gdy Francuzi poprosili go o cofnięcie reformy emerytalnej, on wziął się za środowisko i to w bardzo brzydki sposób” – stwierdziła liderka ugrupowania Marine Tondelier. Nie da się ukryć, że Macron uczynił z reindustrializacji jedną z głównych osi swojej polityki po przepchnięciu reformy emerytalnej. Francja ma stać się znowu atrakcyjna dla inwestorów oraz przodować w innowacjach. Także w dziedzinie zielonych technologii. „Neutralność klimatyczna do 2050 r. to już bardzo ambitny cel. Skupmy się na wprowadzaniu go w życie” – zaproponowała premier Élisabeth Borne.

Tymczasem prezydent przedstawił główne założenia ustawy o zielonym przemyśle. Celem planu jest przyspieszenie budowy nowych fabryk. Pierwsza już powstaje – jest to megafabryka akumulatorów elektrycznych w Dunkierce. Dzięki niej tysiące ludzi w tym dotkniętym wysokim bezrobociem regionie znajdzie pracę. Inne fabryki we Francji powstaną w regionie Hauts-de-France. Macron obiecał również ulgi dla przedsiębiorstw oraz dla właścicieli samochodów elektrycznych oraz ułatwienia w tworzeniu studiów środowiskowych dla inwestycji.

Silny przemysł to jeden z filarów forsowanej przez francuskiego prezydenta suwerenności gospodarczej Europy. Francuzi obawiają się bowiem, że inwestorzy odpłyną za ocean. Macron jest przy tym przekonany, że krytyczne technologie potrzebne do realizacji europejskich celów klimatycznych powinny być produkowane w Unii. Pauza w regulacjach klimatycznych, która powinna potrwać – jak podkreślił minister ds. przemysłu Roland Lescure – pięć, a może nawet 10 lat, miałyby pozwolić Europie skupić się na budowaniu tej suwerenności. Ale czy rzeczywiście chodzi tu o Europę? Czy może raczej o konkurencyjność francuskiej gospodarki?

Aleksandra Rybińska

Nowe mocarstwo

Według najnowszych szacunków Indie liczą obecnie 1425775850 mieszkańców. Oznacza to, że po raz pierwszy od 1950 r., odkąd ONZ prowadzi rejestry globalnej populacji, Chiny spadły na drugie miejsce pod względem liczby ludności.

Detronizacja Chin jest m.in. skutkiem wprowadzenia w 1977 r. polityki jednego dziecka. Obejmowała one grzywny za posiadanie dodatkowych dzieci, przymusowe aborcje i sterylizacje. Restrykcje okazały się na tyle skuteczne, że mimo liberalizacji tej polityki w 2015 r., gdy wyrażono zgodę na drugie dziecko, a od 2021 r. – również na trzecie, Chiny zmagają się teraz z coraz mniejszą i coraz bardziej starzejącą się populacją.

Wskaźnik dzietności w Chinach wynosi dziś 1,2 dziecka na kobietę, a według prognoz liczba mieszkańców ma spaść o prawie 10 proc. w ciągu następnych dwóch dekad, a przed końcem tego stulecia zejść poniżej miliarda. Co więcej, zmienia się także profil wiekowy Chińczyków. Liczba osób powyżej 65. roku życia wzrośnie do 2050 r. ponad dwukrotnie – ze 150 mln do 330 mln, przy jednoczesnym spadku liczby osób w wieku produkcyjnym. Trudno będzie w takiej sytuacji demograficznej utrzymać dotychczasowy szybki rozwój kraju.

Indie są w innej sytuacji. Bo choć wzrost liczby ludności również tam przyhamował, to Indie nie osiągnęły jeszcze najwyższego pułapu, który – według

szacunków – wyniesie 1,7 mld mieszkańców w 2064 r.

Obecnie w Indiach rodzi się średnio 86 tys. dzieci dziennie, w porównaniu z zaledwie 49 tys. w Chinach. Społeczeństwo indyjskie jest młode (średnia wieku wynosi 29 lat) i pozostanie takie przynajmniej przez najbliższe dwie dekady. To daje potencjalne możliwości rozwoju, o ile gospodarka Indii zdoła wchłonąć tak dużą liczbę pracowników. Na razie bowiem mniej niż połowa Hindusów w wieku produkcyjnym ma pracę (w przypadku kobiet to zaledwie 20 proc.).

Indie od dawna starają się kontrolować liczbę ludności – również tu stosowano brutalne metody w rodzaju przymusowych sterylizacji. W efekcie wskaźnik dzietności spadł z poziomu 5,7 urodzeń na kobietę w 1950 r. do dwóch urodzeń obecnie. Istotne są także czynniki ekonomiczne. W bogatych stanach południa dzietność jest znacznie niższa niż na ubogiej północy. Ma to swoje skutki polityczne, południowcy tracą swoich reprezentantów we władzach centralnych, a głos zyskuje uboga większość głosząca na rządzącą Partię Ludową premiera Modiego.

Jeśli Indie podobnie jak wcześniej Chiny zdołają przekuć swoją przewagę demograficzną na sukces gospodarczy, to już wkrótce staną się graczem, z którym wszyscy pozostali będą musieli się liczyć. A to, niestety, może oznaczać kolejne wstrząsy w światowej polityce.

Konrad Kotodziejski

Indie



Fake news przed trybunałem

Większości państw Ameryki Środkowej aborcja na życzenie jest zakazana. Jednym z nich jest także Salvador, który podlega obecnie silnej presji, by zmienić ustawodawstwo w tej sprawie. Szczególnie duży nacisk wywierają na niego międzynarodowe koncerny aborcyjne, które liczą na to, że legalizacja zabójczego proceduru przyniesie im krociowe zyski. Oczywiście jak zwykle posługują się one różnymi organizacjami pozarządowymi, które hojnie wspierają finansowo. Te ostatnie z kolei odwołują się do swoich rozumianych praw człowieka, zwłaszcza tzw. praw reprodukcyjnych.

W tej walce dużą rolę odgrywa też Międzyamerykański Trybunał Praw Człowieka, do którego trafiła niedawno sprawa niejakiej Beatriz Garcíi, która miała umrzeć w 2013 r. z powodu odmowy wykonania aborcji. Okazało się jednak, że w rzeczywistości kobieta zginęła w 2017 r. w wypadku samochodowym. Jest prawdą, że chorowała na toczeń i domagała się aborcji. Lekarze orzekli jednak, że choroba nawet w stanie brzemiennym nie zagraża jej życiu. Zgodnie z ich diagnozą ciąża przebiegła bez powikłań i matka urodziła córeczkę, która niestety zmarła później powodu wrodzonej i nieuleczalnej choroby.

Przypadek Beatriz Garcíi pokazuje sposób działania organizacji proaborcyjnych, które bardzo często opierają się na zafalszowanych historiach. Na analogicznym kłamstwie była przecież oparta sprawa Roe vs Wade, która w 1973 r. doprowadziła do legalizacji aborcji w USA. W Polsce w 2008 r. zakłamany został przypadek 14-letniej Agaty z Lublina, który posłużył lobbystom proaborcyjnym w ich medialnej kampanii. Można powiedzieć, że kłamstwo jest wręcz wpisane w DNA tych środowisk. Ich cała działalność opiera się bowiem na kłamstwie założycielskim, czyli twierdzeniu, że dziecko w prenatalnej fazie rozwoju nie jest istotą ludzką, choć zaprzeczają temu nauki biologiczne i medyczne. Nawet przegrana Salvadoru przed wspomnianym trybunałem nie może zmusić tego państwa do zmiany prawa, jest jednak silnym narzędziem presji.

Grzegorz Górny



Hasło wyborcze: PiS na biiiiiss!

Może być pisane krócej: PiS na Bis! Istotą dobrego hasła jest maksymalny skrót maksymalnie ważnej treści. Przed wojną Melchior Wańkowicz, który był w kabarecie Hybrydy w 1964 r. i opowiadał o tym, otrzymał legendarne honorarium za dwa słowa „Cukier krzepi”. Była to reklama handlowa, więc suma była natury komercyjnej. Ja jedynie nieskromnie zauważam, że trafiające w sedno hasło bywa bezcenne. Wiem to z własnego doświadczenia. Słowa „Żeby Polska była Polską” zawarte w refrenie z lat 70. zyskały taki odzew społeczny w roku 80, że do dzisiaj są znienawidzone przez wrogów Polski. Hasła „PiS na Bis” też nasi wrogowie nie polubią.

Totalna nienawiść do polskości bijąca od Tuska et consortes uniemożliwia im racjonalne podejście do realnych spraw. A polityka jest dziedziną nadzwyczaj realną. Wrzaski nerwosów, gaworzenie pięknoduchów, tyrady ideologów przegrywają z konkretnymi pragmatyków. Ostatnie zgromadzenia Prawa i Sprawiedliwości zwane ulami pokazują pracowitych ludzi rzetelnie definiujących polskie problemy i zagrożenia. A wokół



**Jan
Pietrzak**

tego ula hula żywioł wszelaki. Trutnie, szerszenie, bąki, pająki, muchy plujki... itd. Jeżeli to tałatajstwo dobierze się do naszego ula, to miód diabli wezmą, a pasieka przepadnie.

Jest sprawą wielkiej wagi kontynuacja obecnych rządów, by olbrzymia praca nad rozwojem kraju nie poszła na marne. PiS musi bisować! By nie zasypano kanału na Mierzei Wiślanej, nie wyrzucono ze szkół świetnej książki prof. Roszkowskiego, nie odesłano HIMARS i Abramsów do USA, nie rozpędzono WOT, nie przewalono zapory na granicy z Białorusią, nie odebrano wsparcia socjalnego tym, którzy tego potrzebują... itd.

Usłyszałem właśnie zarzut, że PiS stara się przypodobać społeczeństwu. No właśnie, inne partie robią wszystko, by się podobać Niemcom i razem z nimi okradać Polaków. To kogo mamy wybierać? Inne partie nie ujawniają programu, bo jest okryty tajemnicą wojskową. Planują po wojnie reset z Rosją „taką, jaka ona jest” pod nieodzownym patronatem „błogosławionych rządów niemieckich”.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Walka o seks (w szkołach)

To był temat dnia w najbardziej wpływowym polskim dzienniku. „Co zmieni ustawa zwalczająca »seksualizację dzieci«?” Bite dwie kolumny, a na nich tekst mający udawać informację (w rzeczywistości czysto propagandowa jednostronna agitka), komentarz oburzonej radykalnej felietonistki wspomnianej gazety (nie wiem, czym im jeszcze zostały jakieś nieradykalne), a na koniec dwa głosy działaczy ideologicznych organizacji – nie dwugłos, ale dwa głosy, wyrażające ten sam jedynie słuszny pogląd. Jednego z nich udzielił – uwaga, to nie przypadek – znany działacz gejowski.

Wszyscy oni rzną głupa, udając, że nie wiedzą, co to takiego ta seksualizacja, i utrzymują, że tak naprawdę chodzi im „tylko” o edukację seksualną. Napiszę wprost: edukacja seksualna na poziomie podstawówki to właśnie seksualizacja. Ci sami, którzy grzmią przeciw księżom pedofilom, równocześnie występują z gorącą obroną rozbudzania dziecięcej seksualności. Łatwo się domyślić, że będą też chcieli wmawiać dzieciakom, że seks homoseksualny jest czymś równie wartościowym co ten normalny. Tak jakby chcieli przekształcić szkoły podstawowe w farmy hodujące ofiary dla zbrojców czy tych w sutannach, czy tych w dresach nauczycieli WF-u, czy tych w wykwinnych garniturach.

Kto chce się dowiedzieć, jakie są skutki seksualizacji dzieci, niech zapozna się z historiami Daniela Cohna-Bendita, francusko-niemieckiego intelektualisty i polityka, czy francuskiego pisarza Gabriela Matzneffa, którzy już w latach 60. ub.w. za przyzwoleniem (a może i ku zazdrości) swoich środowisk zabawiali się z dziećmi, a nawet szczycili się tym w swoich publikacjach (a nie tylko ci dwaj byli zaangażowani w ten obrzydliwy proceder). Pisaliśmy o tym w Tygodniku TVP, odsyłam do tekstów m.in. Beaty Modrzejewskiej.

To, że są ludzie, którzy wprost i otwarcie, pod własnymi nazwiskami, domagają się swobody działania w szkołach organizacji zajmujących się opowiadaniem małym dzieciom o seksie, jest dla mnie – jeszcze raz napiszę, w czasach, gdy mamy realny problem z pedofilią – niepojęte. Jak trzeba być bezmyślnym i niefrasobliwym, jak bardzo trzeba mieć w pogardzie dzieci, jak bardzo trzeba nie mieć szacunku dla rodziców?

No i ostatnie, chyba najważniejsze pytanie: dlaczego walka o swobodę seksualizacji to tak ważna sprawa, że warto ją uznać za temat dnia w wysokonakładowej gazecie?

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



**Dominik
Zdort**

Pani mokra zagrożona

Kolejny zamach PiS na kulturę. Czy warto go odnotowywać po całej serii podobnych poczynań zainicjowanych zamachem tej partii na demokrację, czyli powołaniem rządu w efekcie wygranych wyborów? I to bez uzgodnienia z Holland i Stuhrem, szefem KE i kanclerzem Niemiec, Michnikiem i Lisem, Tuleją i Żurkiem. Ale to jeszcze mało, bo – proszę sobie wyobrazić – rząd ten podjął się rządzenia. Mimo protestów obrońców demokracji. Obsadzał podległe sobie instytucje. Również kulturalne. Czy może być większy skandal? Ostatnio, po odejściu na emeryturę naczelnego miesięcznika „Dialog”, dyrektor Instytutu Książki, któremu pismo podlega, powołał nowego naczelnego. Jest nim pisarz, eseista i redaktor, dr Antoni Winch. Został powołany bez uzgodnienia z „GW”, dotychczasową redakcją „Dialogu” czy wojującymi feministkami, które uwiły sobie tam gniazdko. I rozpoczęła się kampania taka sama jak w przypadku Instytutu Teatralnego, Centrum Sztuki Współczesnej, Zachęty oraz każdego ośrodka kultury, który państwo finansuje.

Tytuł modelowego artykułu w „GW”: „PiS-owski układ kulturalny”.

„Konserwatywny literat Antoni Winch został redaktorem naczelnym zasłużonego pisma »Dialog«. Winch został, by tak rzec, przyniesiony w teczce przez dyrektora podległego Glińskiemu Instytutu Książki”. Konserwatywny to co najwyżej „literat”. Zgodne z procedurą mianowanie to „przyniesienie w teczce”. Ale lista grzechów Wincha się na tym nie wyczerpuje. „Pracuje też jako kierownik literacki w Teatrze im. Jaracza w Łodzi, gdzie PiS-owski zarząd województwa powołał na dyrektora Michała Chorościńskiego, męża aktorki i posłanki PiS Dominiki Chorościńskiej-Figurskiej. Tenże Chorościński jest z kolei reżyserem i »koordynatorem teatru« w upaństwowionym właśnie przez Glińskiego i wspartym 10 mln rocznie Teatrze Klasyki Polskiej, kierowanym przez Jarosława Gajewskiego”.

W Polsce, w której wybory wygrywa PiS, instytucje państwowe stają się „PiS-owskie”, finansowanie kultury staje się „wspieraniem” swoich, bo mianowanych przecież przez niewłaściwy rząd, a praca dla państwa to „fucha” i wejście do „układu”. Demokratyczne procedury są przedstawiane jako działalność mafijna, a słowo „piss”, którym krztuszą się autorytety moralne i luminarze kultury III RP, przybiera charakter obsesyjnej obelgi, chorobliwej persewacji. Jakiegokolwiek zbliżenie się do „pissu” zaraża.

Mianowani przez „piss” zajmują miejsca należne „właściwym” i dlatego po „wygranych” wyborach – jak prostodusznie wyznaje wyborczy autor – „cała ta czeladka będzie musiała zmieścić się w TV Republika, mediach braci Karnowskich, na

katolickich uczelniach czy marszałkowskich instytucjach kultury w tych województwach, gdzie PiS zachowa władzę”. Oto wizja pluralizmu ze strony jego żarliwych obrońców. Bez pozoru odwoływania się do talentów czy kompetencji. Państwo można akceptować, jeśli władza należy do nas – wprost mówią obrońcy porządku III RP. To samo dotyczy kultury.

„Dlaczego Winchowi nie jest wstyd?” – pyta w tytule swojego artykułu „profesorka” od gender i feminizmu Agnieszka Graff. To, że sama powinna wstydić się swojego tekstu i całej kariery, nie przyjdzie jej do głowy. Chociaż należałoby się z nią zgodzić, kiedy pisze: „A zatem, droga redakcjo [»Dialogu«], czas obudzić się z egzystencjalnego stuporu. Mniej równości, więcej metafizyki. Mniej feminizmu, więcej tragizmu”. To, zdaje się, ma ośmieszyć nowego redaktora teatralnego pisma.

„W radykalnym konserwatyzmie Wincha dominuje nuta buntownicza, wręcz kontrkulturowa. Jest to bunt przeciw demokracji. Przeciw dyskursom równościowym, tu uznanym za obmierzlą opresję. Jest w tym myśleniu głęboka pogarda dla liberalizmu jako systemu wartości i demokracji liberalnej jako systemu politycznego. Feminizm, ekologia, antyrasizm, namysł nad etyką pracy w teatrze?”

To duchowa martwota, stupor i »duchowy szit«. Winch chce te głupstwa zastąpić metafizyką i tragizmem”.

Demokrację autorka postrzega wyłącznie w jej liberalnym wcieleniu, które ma z nią tyle wspólnego, co jej „ludowa” wersja. Nie wymagajmy jednak od Graff zbyt wiele. Jest przecież specjalistką od gender. Nie zdaje sobie sprawy, że podpisuje się pod apologią nowego redaktora. Przy okazji przeprowadza wiwisekcję swojego środowiska. Metafizyka, tragiczność to dla niego nudne starocie, to, co ważne, to „pani mokra”, której pomnik wystawiła doskonała jego reprezentantka, Monika Strzępka. Zastąpi ona fallokratów w rodzaju Gustawa Holoubka, Zbigniewa Zapasiewicza czy Tadeusza Słobdzianka na stanowisku dyrektora, przepraszam: dyrektorki Teatru Dramatycznego. Zarówno tym, że widzowie teatralni zredukowani zostali do ideologicznej jaczejki, postępowcy się nie przejmują, jak i tym, że czytelnicy „Dialogu” to dziś paręset osób. Ważne, by zachować monopol.

Co będzie jednak, jeśli „pani mokra” wyschnie? Na skutek emisji dwutlenku węgla – naturalnie.



OGNIEM NA WPROST

HIMARS Orchestra

Ukraińska obrona przeciwlotnicza wykazała się ostatnio 100-proc. skutecznością. W nocy z 15 na 16 maja Ruski uderzył w Kijów prawie wszystkim, co lata, w tym Kindzałami. Ta „cudowna”, reklamowana przez Kreml jako hipersoniczna, broń miała być ponoć nie do strącenia. Rozwijała tak wielką prędkość, że nawet sam Władimir P. mimo swojego sokolego wzroku nie mógł jej zauważyć na manewrach, jak przecina nieboskłon. I tak się nakręcili przez pięć lat, robiąc to, co lubią najbardziej – straszyć Zachód. Aż wreszcie wypuścili z samolotu na stolicę Ukrainy najpierw jedną rakietę. I szok! Trafiona Patriotem spadła na ziemię niczym dojrzała ulegalka. To nocą wypuścili sześć sztuk naraz. Wszystkie trafione! Żadna nie doleciała do celu. Ponoć odłamki jednej z nich uszkodziły system Patriot. I to wystarczyło Moskwie, żeby odtrąbić sukces. Ale jak się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma. W rzeczywistości mit o śmiertelności Kindzale upadł dość szybko i z dużym hukiem – raptem pięć lat po premierze, rok po debiucie bojowym i dzień po pierwszym zderzeniu z nowoczesnym zachodnim systemem.

Sily ukraińskie zepchnęły pod Bachmutem Moskale prawie do samej wsi Kleszczówka na południu, zajmując na powrót górujące nad nią wzgórza. Na północy idą do przodu całą szerokością od rogatek miasta do drogi na Słowiańsk. W tejże Kleszczówce zagrały swoją ulubioną melodię tryzubowe

HIMARS. Tym razem trafiono kacapski punkt dowodzenia. Wśród ofiar znalazło się czterech wysokich oficerów, w tym dowódca 4. Samodzielnej Brygady Strzelców Zmotoryzowanych, płk Wiaczesław Makarow, jego zastępca, szef sztabu oraz zastępca dowódcy 2. Korpusu Armii. Cała czwórka została wystawiona na strzał, a Ukraińcy doskonale wiedzieli, na kogo polują. Makarow był jednym z lepszych rosyjskich dowódców, a 4. Brygada jedną z lepszych jednostek. Do tej pory całe to towarzystwo słuchało na koncertach chóru Aleksandrowa pieśni „Katiusza”, ale ostatnią nutę tym razem zagrał dla nich amerykański jazz-band – HIMARS Orchestra.

W samej Kacapii ludzie ukrywają się przed mobilizacją, jak tylko mogą. Teoretycznie potencjał państwa moskiewskiego był szacowany przed najazdem na 2–2,5 mln bojów, a *de facto* nie jest w stanie przekroczyć pułapu 1 mln ludzi. Jednym z popularnych ostatnio sposobów – jak czytamy w sieci – na wymiganie się z kamasy jest formalna zmiany płci (bez tranzycji) i wyjście za mąż za kolegów. Niedługo Wschód będzie mógł się poszczycić największą liczbą tranzycji i małżeństw jednopłciowych (choć formalnie dwupłciowych) w całej Europie i Azji. Wręcz wymarzona sytuacja dla rodzimych i europejskich aktywistów gender i LGBT+. Po co latać po szkołach i demoralizować dzieci, skoro wystarczy wywołać wojnę, a dewiacyjne postulaty same się zrealizują.



Minister spraw wewnętrznych bantustanu Ługandy (Ługańskiej Republiki Ludowej) Igor Hornet doszedł do wniosku, że czas odwiedzić fryzjera. Nie zauważył, że każdy jego ruch jest śledzony przez lokalny, ukraiński ruch oporu. Po udaniu się do zakładu w Ługańsku i zajęciu miejsca w fotelu eksplodował ładunek wybuchowy, który zmiotł z powierzchni ziemi zarówno lokal, jak i nieszczęsnego klienta. Tym razem strzyżenie wraz z goleniem wyszło gratis.

Na koniec, jak od kilku tygodni, Ruscy o sobie: „Rosjanie to lud, który nienawidzi wolności. Kocha niewolnictwo, kocha kajdany na swoich rękach i nogach, brudny fizycznie i moralnie. Gotowy w dowolnej chwili stłamsić wszystkich i wszystko” – Iwan Szmielow, tamtejszy pisarz.

Andrzej Rafał Potocki



Więcej niż gra

Jan Englert aktor, reżyser, dyrektor artystyczny Teatru Narodowego

Po podziękowaniu gościom za przybycie stwierdził:

– Bardzo nie lubię jubileuszy. Imprez, podczas których kogoś się „buduje” tylko dlatego, że np. przeżył 80 lat. Nie moja w tym zasługa, że Pan Bóg jest dla mnie łaskaw. Lakier i blacha jeszcze w porządku, ale z rurą wydechową już gorzej... – żartował.

O doświadczeniach przed kamerą mówił:

– Niedawno byłem podsumowany liczbami: licząc razem z serialami, ale bez Teatru Telewizji, zagrałem sto kilkadziesiąt ról. Spory dorobek, ale wybrałbym z tego może 10 filmów.

Role w „Kanale”, „Kolumbach” i „Katyńiu” nazwał czymś więcej niż grą:

– Uważam je za swego rodzaju powinność, a jednocześnie nagrodę. Mogłem

dzięki tym filmom uczestniczyć w historii, na której się wychowałem.

Dlaczego nie dotarł do Smoleńska:

– Miałem lecieć z prezydentem Lechem Kaczyńskim, ale drażniło mnie, że są dwie delegacje, że przytak ważnej sprawie będziemy się na pół. Kiedy przyszedłem do teatru, witał mnie szpaler kolegów, którym się wydawało, że wróciłem z tamtego świata.

O najnowszym projekcie (pełnometrażowym debiucie fabularnym reżyserki Dominiki Montean-Pańków pt. „Skrzyżowanie”):

– Po wielu latach zacząłem zdjęcia do filmu, w którym prawie nie schodzę z ekranu, w roli napisanej dla mnie. Mam wielką frajdę i przyjemność, że zdążyłem jeszcze raz stanąć przed kamerą i coś od siebie powiedzieć. **✓**

Zebrała Jolanta Gajda-Zadworna

Z okazji 80. urodzin (które świętował 11 maja) Stowarzyszenie Filmowców Polskich i Studio Munka zorganizowały uroczyste spotkanie w warszawskim kinie Kultura. Szanowny jubilat nie tylko wspominał i podsumowywał na nim swoje dokonania, lecz także poinformował o najnowszej roli, w której wystąpi.

- A NA DZIEŃ MAMY
COŚ MAMY?

- PYTASZ CZY MAMY
CZY DLA MAMY?



Platforma bogaczy

Partia Donalda Tuska właśnie pokazała, że nie ma pomysłu na polepszenie statusu Polaków, woli więc stawiać na emocje i szkalujące rząd hasła. Czy uda im się wypaczyć rzeczywistość i wygrać wybory? Z pomocą PO ruszył wielki, prywatny biznes. Sypią się miliony, byle tylko odsunąć PiS od władzy



MAREK PYZA **MARCIN WIKŁO**

Przecież ludzie widzą, że jest drożyzna w Polsce i o tym mówią. A przypięcie inflacji w całości do PiS to jest politycznie zgrabny zabieg – mówi nam jeden z ważnych polityków opozycji (nie z PO). – Oczywiście, że nie do końca uczciwy, ale zgrabny. Politycznie to może być dobra inwestycja – dodaje i odchodzi z szerokim uśmiechem.

Początkowo nie było nawet jasne, czy to rzeczywiście Platforma Obywatelska stoi za tą kampanią, bo billboardy nie były w żaden sposób sygnowane. Charakterystyczne plakaty „PiS = drożyzna”, którymi partia Tuska zalała cały kraj, to był przekaz najprostszy z możliwych. To prawda, że nawet nieocierający się o prawdę, bo nawet amatorzy w dziedzinie ekonomii wiedzą, że wysokie

ceny i inflacja to następstwo załamania gospodarki po pandemii, a potem skutek rosyjskiego najazdu na Ukrainę. Ale w polityce, a szczególnie w roku wyborczym, bardzo ważne są emocje. No i końcowy sukces. Politycy PO próbują więc faulować, byle wygrać. Konieczne są do tego pieniądze i to duże.

PO PROŚBIE

Partie polityczne mają na swoją działalność państwowe subwencje. W przypadku PO to aż 20 mln zł rocznie. A jednak 17 marca br. podczas spotkania w Bytomiu Donald Tusk mówił o pustej kasie. Widocznie ogólnopolska kampania billboardowa mocno nadszarpnęła finanse partii. „Na koniec nie pozostanie nic innego, jak poprosić tych wszystkich, którzy mogą dać 10, 20, czy 50 zł i wesprzeć kampanię” – zaapelował były premier. I ruszyła lawina.

– Mamy blisko 3 mln zł wpłacone na konto partii, złożyło się na to ok. 8 tys. naszych sympatyków – z satysfakcją mówił nam w ubiegłym tygodniu Jan Grabiec, skarbnik PO. To największa w historii polskiej polityki kwota zebrana przez partię w tak krótkim czasie (dwóch miesięcy). Wpłat poniżej 10 tys. zł nie trzeba ujmować w rejestrze, zatem zdecydowana większość darczyńców pozostanie anonimowa, ale jest też poszerzające się grono osób, które chcą ofiarować PO o wiele większe kwoty (limit w br. wynosi 52 350 zł od osoby). Bogacze widocznie pokładają swoje nadzieje w Donaldzie Tusku.

Pierwszymi, których PO wykazała w rejestrze wpłat na partię, byli Arkadiusz Muś (wpłacił maksymalną dopuszczalną kwotę), biznesmen spod Częstochowy, i jego córka Maria Muś (wpłaciła 50 tys. zł). Właściciel firmy Press Glass nie ukrywał, że jego zaangażowanie w politykę nie było przypadkowe: „Chciałem dać przykład innym przedsiębiorcom, że sprawa wyborów wymaga zaangażowania. Moje poglądy są proeuropejskie, wolnościowe. Oceniam, że w tej chwili to akurat Platforma Obywatelska i Donald Tusk mają pewną sprawczość w relacjach z Unią Europejską” – mówił w rozmowie z WP.

Firma Musia to obecnie potentat w branży okiennej, ma rozległe kon-

takty. Być może wystarczyło więc, że prezes zadzwonił po znajomych i posypały się kolejne wpłaty. W rejestrze PO jest także Janusz Jankowiak, szef firmy Q4Glass (także branża okienna) – wpłata 52 350 zł. Najwyższej możliwej donacji dokonali też m.in. Mariusz Gawron (prezes Hossa SA – deweloper), a także założyciele firmy CD Projekt (wydawcy gier komputerowych, m.in. przebojowego Wiedźmina), Marcin Iwiński z rodziną (w sumie cztery osoby) i Adam Kiciński z żoną. Rodzinna wpłata popłynęła również od Krzysztofa Oleksowicza (założyciela i byłego prezesa Inter Cars) oraz jego żony Wandy (po 52 350 zł). Maksymalną kwotę wpłacił Jerzy Szulist, przedsiębiorca budowlany z Gdyni, a Roman

Pierwszymi, których PO wykazała w rejestrze wpłat na partię, byli Arkadiusz Muś (wpłacił maksymalną dopuszczalną kwotę), biznesmen spod Częstochowy, i jego córka Maria Muś (wpłaciła 50 tys. zł).

Karkosik – inwestor giełdowy i sponsor toruńskiej drużyny żużlowej, który dotychczas unikał rozgłosu – przelał na konto PO 52 tys. zł.

LIDER WPŁAT

Kim jest Arkadiusz Muś, po którego sygnale popłynęła szerokim strumieniem kasa na partyjne konto Donalda Tuska? Jego biznesowe oblicze jest znane, firma Press Glass jest jedną z czterech wiodących marek na rynku szyb zespolonych na świecie. Ma 15 fabryk: pięć w Polsce, sześć w Wielkiej Brytanii, dwa zakłady w USA, po jednym na Litwie i w Chorwacji. Jak wspominają osoby, które znają go od lat, nigdy nie stronił od polityki, choć zazwyczaj poruszał się

na jej marginesie. W latach 1995–2000 należał do Ruchu Stulecia, zaangażował się w prezydencką kampanię wyborczą Andrzeja Olechowskiego.

– Był zawsze skrajnie antypisowski. Pamiętam rozmowę sprzed lat, gdy w Sejmie V kadencji (2005–2007) zaczęła pracę komisja śledcza ds. banków i nadzoru bankowego. Muś chodził wściekły i opowiadał, jak bardzo jest wkurzony, bo „taki chłystek i prostak jak Artur Zawisza śmiał wezwać i przesłuchiwać pana prof. Balcerowicza”. Ulewała się z niego żółć i potworna nienawiść do środowiska Jarosława Kaczyńskiego, chociaż to właśnie ci działacze próbowali mu pomóc, gdy miał spór z prezydentem Częstochowy, a jego biznes był w zasadzie wypychany z miasta – opowiada nam jeden ze śląskich polityków.

Muś z ulgą przyjął skrócenie kadencji w 2007 r. i późniejsze zwycięstwo Tuska. Ta partyjna sympatia trwa, biznesmen konsekwentnie pomaga w przedsięwzięciach, które firmują politycy obecnej opozycji: wspierał Komitet Obrony Demokracji, wspomógł organizację Campusu Rafała Trzaskowskiego (za pośrednictwem założonej przez siebie liberalnej Fundacji Wolności Gospodarczej), a od 2020 r. jest członkiem zespołu doradców ds. gospodarczych przy marszałku Senatu RP Tomaszu Grodzkim.

„W moim geście nie ma nastawienia anty-PiS. Uważam, że po dwóch kadencjach rządów Zjednoczonej Prawicy Polsce należy się odnowa. Po pewnym czasie każda władza się dewaluuje i dla przejrzystości życia publicznego lepiej jest ją zmienić” – wyjaśniał Muś, próbując dystansować się od bieżącego sporu politycznego. Wpłacone wraz z córką na cel polityczny ponad 100 tys. zł może nie być dla nich bardzo odczuwalne, bowiem według zestawienia „Forbesa” majątek Musia wart jest ponad 4,5 mld zł. Patrząc nieco szerzej, wspomniany ranking to element łączący niemal wszystkich wpłacających znaczne kwoty na konto partii Tuska.

ASPIRACJE BIZNESU

Miesięcznik „Forbes” jest wydawany – podobnie jak m.in. tygodnik „Newsweek” czy portal Onet – przez Ringier Axel Springer Polska. I linię polityczną ma dokładnie taką samą, konsekwentnie antypisowską. Dorocznym wydarzeniem jest publikowany zawsze wiosną ranking 100 najbogatszych Polaków, obecność na liście to oczywista nobilitacja. W towarzystwie nieco mniej zamożnym, które można nazwać aspirującym, w dobrym tonie jest zestawienie komentować i się nim emocjonować – tworzy się swego rodzaju społeczność ludzi podobnie myślących i zmierzających w jednym kierunku, na szczyt. Przy okazji krajowy establishment biznesowy chłonie treści, które serwuje „Forbes”. Z jednej strony to blask światowego blichtru, piękne rezydencje, ekskluzywne samochody, opis nowatorskich przedsięwzięć, czyli model świata elitarnego, który mają przecież w zasięgu ręki. A z drugiej – pełne pretensji do obecnej władzy opinie nasycone pogardą do biedniejszych, którym państwo rozdaje pieniądze. To jest coś, co ma wkurzać i dzielić. I tak się dzieje.

Wystarczy przejrzeć tylko kilka stron magazynu, by spomiędzy drogich reklam wyskoczyła na czytelnika nachalna polityczna propaganda. „Ekonomiści o 800+. Najgorszy moment na takie decyzje”. I w formie zarzutu passus o tym, że „program rozdawania pieniędzy sprawia, że zwiększają się dochody rodzin o najniższych zarobkach”. Biedniejsi się nieco wzbogacą, a to dla biznesowej elity trudne do zniesienia. Mechanizm dokładnie taki sam, jaki obserwowaliśmy, gdy w 2015 r. ogłoszono start programu Rodzina 500+. Wtedy też uwierало ich, że w wakacje na plażach pojawiają się mniej zamożni Polacy.

O kolejnej propozycji PiS, czyli darmowych lekach dla szerszej niż dotychczas grupy, czytamy, że to w sumie dobry pomysł, bo „może to przyczynić się do ogólnej poprawy zdrowia społeczeństwa i obniżenia kosztów leczenia w dłuższej perspektywie, a dobre zdrowie populacji może też wpływać na wydajność gospodarki”. Puenta jed-

nak musi być przeciwna: „Darmowe leki mogą jednak prowadzić do zwiększonego ich zużycia [...]. To z kolei może prowadzić do większego zużycia zasobów medycznych, nadużywania leków lub nadmiernej zależności od farmakoterapii, co może generować niepotrzebne koszty dla systemu opieki zdrowotnej”.

I tak po kolei. Każda aktywność rządu może być niby dobra, ale dziennikarze „Forbesa” potrafią obrócić rzeczywistość o 180 st. Redaktor naczelny pisze o polskich realiach w słowie wstępnym, że „biznes naprawdę zaczyna tracić nerwy, chociaż robi to z klasą. Jeszcze nie pada wprost deklaracja: »w tych warunkach tutaj

Oczekiwana przez Musia i jemu podobnych zmianę władzy ma dać najprostszymi zabieg – przekonanie wyborców, że wyłącznie partia rządząca odpowiada za drożyznę. Choć to przecież nieprawda

już nie warto«, ale łatwo ją dostrzec między wierszami. [...] Przedsiębiorcy są naprawdę przytłoczeni liczbą patologii i zaniechań na wszystkich poziomach, a przecież w depresji trudno jest robić rozsądny biznes”.

Wróćmy jeszcze do Arkadiusza Musia. W 2015 r. po pierwszej turze wyborów prezydenckich mówił w portalu Tomasz Lis: „Jestem zdruzgotany tym, co się wydarzyło, bo ostatnie kilka lat poświęciłem na walkę z populizmem. Ponad

50 proc. dla Dudy i Kukiza to jakiś absurd, najczarniejszy koszmar. Będę jednak musiał pomyśleć nad uzasadnieniem pozostania tutaj”. Jednak został. We wspomnianym rankingu „Forbesa” znajdujemy wykres, który pokazuje zmianę wartości majątku Musia od 2017 r. Fortuna ciągle rośnie: 2017 – 1,6 mld; 2018 – 2 mld; 2019 – 2,3 mld. 2020 r. to lekki spadek – 2,1 mld. Potem już ostro do góry, 2021 – 2,8 mld; 2022 – 4,3 mld; wreszcie 2023 r. – 4,5 mld i dziewiąte miejsce w rankingu. Gołym okiem widać, że biznesmen nie powinien narzekać na czasy z PiS u władzy. A jednak narzeka, chce zmiany i namawia do tego innych.

Wie, że kontynuacja rządów Zjednoczonej Prawicy to dalsze wzmacnianie najsłabszych według zasad solidaryzmu społecznego, a więc np. przy dalszym uszczelnianiu i reformowaniu systemu podatkowego

– większe obciążenia dla najbogatszych.

Arkadiusz Muś



Fot. Grzegorz Michajkowski/PAP

PiS = drożyzna



Fot. Andrzej Wiktor

POLACY SWOJE WIEDZĄ

Oczekiwana przez Musia i jemu podobnych zmianę ma dać najprostszy zabieg – przekonanie wyborców, że wyłącznie partia rządząca odpowiada za drożyznę. Choć to przecież nieprawda.

– Na początku trochę się wystraszyłem tej kampanii, bo wreszcie wpadli na coś niesztampowego i potencjalnie skutecznego – mówi nam jeden ze sztabowców Prawa i Sprawiedliwości. Opowiada o prowadzonych na zlecenie obozu władzy badaniach, które wskazują, iż Polaków najbardziej niepokoją rosnące ceny. – Im z focusów musiało wyjść to samo. W naszych okazało się, że aż 84 proc. badanych obawia się inflacji (55 proc. – bardzo, a 29 proc. – raczej). Kolejne miejsca na liście lęków zajmują: brak należytej opieki zdrowotnej (w sumie 74 proc. wskazań) i patologia w wymiarze sprawiedliwości (72 proc.). Mogli więc w nas uderzyć wyłącznie inflacją i dlatego cały ten wysiłek Tuska oraz zaangażowane miliony złotych w jeden tylko temat.

Jednocześnie nasz rozmówca cieszy się, że PR-owcy Platformy zaspali. – Zaczęli za późno. Gdyby wystartowali w grudniu, byłoby po nas. A że ruszyli kilka miesięcy później, to tak się złożyło, że dokładnie w dniu startu ich kampanii pojawiła się pierwsza informacja o spadku inflacji. Chcieli game changera, ale im nie wyszło.

Dopytujemy o skuteczność przekazu PO – czy ludzie uwierzą, że za drożyznę odpowiada PiS? – To mało prawdopodobne. Drobiazgowo przebadaliśmy

nastroje społeczne. Pytaliśmy ludzi zarówno w dużych miastach, jak i na prowincji, jak tłumaczą sobie rosnące ceny. We wszystkich ośrodkach malował się ten sam obraz. Na pierwszym miejscu wymieniany jest Putin i rosyjska inwazja na Ukrainę, dalej: rosnące z powodu wojny ceny paliw, później pandemia. Rząd pojawia się zdecydowanie rzadziej i tylko w przypadku, gdy można

Gdyby wystartowali w grudniu, byłoby po nas. A że ruszyli kilka miesięcy później, to tak się złożyło, że dokładnie w dniu startu ich kampanii pojawiła się pierwsza informacja o spadku inflacji. Chcieli game changera, ale im nie wyszło – mówi jeden ze sztabowców PiS

go połączyć w tej sprawie z prezesem NBP i Orlenem. Widać więc, że jakiś skutek przynosi długotrwała kampania wymierzona personalnie w Adama Glapińskiego i Daniela Obajtka. Ale ankietowani wymieniają też np. spekulantów cenowych. Rozumieją, że wiele podmiotów sztucznie podnosi ceny, wykorzystując inflację jako pretekst.

Ciekawe odpowiedzi przynosi pytanie o ocenę działań rządu wobec drożyzny. – Badani uznają je za niewystarczające, choć przytakują, że są zauważalne. Najlepsze pojawia się, gdy dopytujemy, czy inflacja się skończy, jeśli się zmieni władza. Nie znalazła się ani jedna osoba, która w to wierzy. W dodatku niekorzystnie dla PO wypadają odpowiedzi na pytanie, czego Polacy najbardziej obawiają się po ewentualnym zwycięstwie partii Tuska. Na czele listy są: wyprzedaż majątku narodowego, podniesienie wieku emerytalnego, donoszenie na Polskę do Brukseli, ataki na Jana Pawła II, likwidacja programów społecznych, a nawet kwestia niemiecka. Umiarkowana część elektoratu PO obawia się, że Platforma oznacza uzależnienie naszego kraju od Niemiec.

Rozmawiamy jeszcze przed konwencją PiS, na której Jarosław Kaczyński zapowiedział waloryzację 500+ do kwoty 800 zł miesięcznie. Jak się okazuje, dosłownie na kilka dni przed tym wydarzeniem w obozie władzy nie było jeszcze decyzji w tej sprawie. Dużo bardziej

prawdopodobne było wprowadzenie 13. i 14. świadczenia, podobnie do emerytur.

– Donald Tusk, wchodząc w zapowiedzi pakietów socjalnych (np. „babciowe”), zbagatelizował fakt, że jego elektorat w ten sposób straci jeden ze swoich najważniejszych argumentów, bo Platforma miała skończyć z „rozdawnictwem”. Wobec tego my możemy rozszerzyć nasze programy. Badania pokazują, że dla kluczowego w naszym przypadku elektoratu centrowego obojętne jest, kto da mu pieniądze, lecz PiS jawi się jako wiarygodny w tej kwestii. A socjalny Tusk jest odbierany jako udający ko-

goś kim, nie jest. Uznał jednak, że jego wyborcy się nie zniechęcą, bo dla niego nie ma alternatywy.

Czy tak jest faktycznie? Z badań ma wynikać, że aż 53 proc. elektoratu PiS jest na 100 proc. przekonanych, że mają „swoją” partię. Wśród wyborców Platformy takie przekonanie ma ledwie 21 proc. badanych.

Pytamy w sztabie Prawa i Sprawiedliwości o kwestię, która do niedawna była tematem numer jeden na opozycji – wspólną listę wyborczą. Czy w formacji Kaczyńskiego jej brak przyjęto z ulgą? – Oczywiście. Wszystkie nasze badania pokazują, że opozycja jest w stanie wygrać wyłącznie wtedy, gdy się dogada i stworzy jedną listę. W każdym innym scenariuszu przegrywają. A jednej listy nie zlepią, bo to może się okazać zabójcze dla małych partii. One wolą przetrwać, niż oddać życie za odsunięcie nas od władzy.

JAK W USA

Platforma zostawia więc już za sobą apele o porozumienie na opozycji i gra tylko na siebie. Najprostszymi metodami i najbardziej zuchwałymi. Kilka tygodni temu na przykładzie jednego spotkania w Żywcu dowiedliśmy, jak szeroko Donald Tusk stosuje kłamstwo w swojej kampanii. Na fałszu jest też oparta główna część ofensywy PO, czyli wmówienie Polakom, że PiS = drożyzna.

„Chcemy pokazać, jakie są związki PiS z inflacją, która jest jedną z najwyższych w Europie” – mówił w grudniu 2021 r. rzecznik Platformy Jan Grabiec. Ale przez kolejne długie miesiące PO wcale nie chciała tego pokazać. Konsekwentnie pomijała podstawowe czynniki wpływające na wzrost cen, a skupiła się na wdrukowaniu Polakom do głów prostej zbitki: PiS to drożyzna. Wymyślono to właśnie w 2021 r. (pierwotnie posłowie Platformy utworzyli na sejmowej sali kartoniadę z tym hasłem, przypominającą kibicowskie oprawy stadionowe). Wtedy nie poskutkowało (sondaże nie drgnęły), więc teraz postanowiono zrobić to samo, tylko bardziej. Stąd zalanie w ostatnich tygodniach polskich miast i miasteczek billboardami zawierającymi nic więcej poza partyjnym sloganem.

Cel – Polacy mają się nie zastanawiać, skąd rosnące ceny, ale kojarzyć je wyłącznie z polityką obozu rządzącego.

W ub.r. tą metodą amerykańscy republikanie próbowali odzyskać więk-

szość w Kongresie. Ich kampania była bliźniacza. Winą za inflację obarczali Joe Bidena i politykę demokratów. Sieć zalewały grafiki pokazujące, o ile zdrożały różnorakie produkty, a zdołał je wizerunek uśmiechniętego prezydenta z hasłem „I did that!” (Ja tego dokonałem!). Powszechnie używano też zwrotu „inflacja Bidena”.

Jak to opisywały polskie lewicowo-liberalne media, które pomagają Platformie upowszechniać jej przekaz uderzający w PiS? W przypadku Stanów Zjednoczonych potrafiły odróżnić prawdę od tanich politycznych sztuczek i zwracały uwagę, że drożyzna w USA ma źródło gdzie indziej niż w Waszyngtonie. OKO.press 6 listopada wskazywał: „Warto zauważyć, że te problemy nie zależą tylko od Bidena.

W ub.r. tą metodą amerykańscy republikanie próbowali odzyskać większość w Kongresie. Ich kampania była bliźniacza do tej PO. Winą za inflację obarczali Joe Bidena i politykę demokratów

Ceny energii poszybowały przez rosyjską inwazję na Ukrainę i europejskie poszukiwania alternatywy wobec rosyjskich dostaw gazu”.

„Gazeta Wyborcza” dzień wcześniej wydrukowała alfabet amerykańskiej kampanii. Pod literą „E” czytelnicy poznali hasło „ekonomia”: „Stan portfela jest najistotniejszą kwestią dla Amerykanów w tych wyborach. Aborcja i inne tematy tracą na znaczeniu, gdy inflacja dobija do 9 proc. W ostatnim roku rosła najszybciej od ponad 40 lat. Przyczyną są globalne: wzrost cen surowców i produktów rolnych spowodowany m.in. wojną w Ukrainie; oraz wewnętrzne: wysoki popyt napędzany przez bezpośrednie wypłaty pomocowe dla gospodarstw domowych w czasie pandemii”. I tyle.

Żadnych złych decyzji Bidena, żadnych błędów amerykańskiego banku centralnego. Tylko obiektywne, globalne przyczyny. A u nas? Wiadomo: Morawiecki, Kaczyński, Głapiński... I tak w kółko.

Republikanie boleśnie się przekonali, że inflacja nie rozstrzyga wszystkiego. O ile bowiem odzyskali większość (nieznaczną) w Izbie Reprezentantów, to Senatu wbrew sondażom nie odwojowali.

TAJEMNICA PLATFORMY

PO wierzy, że jej kampania będzie skuteczniejsza od amerykańskiej. I stawia wszystko na jedną kartę. Warszawa, Jaworzno, Gryfino, Szczecinek, Rzeszów, Pułtusk, Inowrocław, Lubartów, Jarocin, Konin, Kartuzy, Bolesławiec, Krosno, Gdynia, Stalowa Wola, Gostyń – w każdym województwie, w dużych miastach i małych miasteczkach, na drogach międzymiastowych, przystankach komunikacji miejskiej, słupach ogłoszeniowych, autobusach rzucały się w oczy plakaty z hasłem „PiS = drożyzna”. Zaczęły się pojawiać pod koniec marca, akurat przed czasem wielkanocnych zakupów.

Platforma się pod nimi nie podpisała, bo nie musiała. Poza kampanią wyborczą nie ma takiego obowiązku – informuje nas Państwowa Komisja Wyborcza. Jednocześnie PKW przypomina, że jesteśmy w tzw. czasie prekampanii, którego precyzyjnego opisu brakuje w polskim prawie, ale nie znaczy to, że Komisja ignoruje partyjną aktywność. W przesłanym nam oświadczeniu czytamy: „Podjęcie przez podmioty lub osoby, także te, które zamierzają uczestniczyć w zbliżających się, lecz jeszcze niezorganizowanych wyborach, takich działań, które noszą cechy kampanii wyborczej, jest niezgodne z przepisami prawa wyborczego. Podmioty te powinny zatem przed zarządzeniem wyborów powstrzymać się od takich działań”.

Obraz akcji billboardowej zaciemniała sama PO takimi wpisami jak ten na Twitterze zamieszczony 20 kwietnia przez profil warmińsko-mazurskiego regionu partii. Zdjęcie plakatu opatrzone komentarzem: „W Tolkmicku wiedzą, kto jest odpowiedzialny za drożyznę!”. Można go zrozumieć tak, że billboard

wywiesił jakiś zwykły mieszkaniec miasteczka nad Zalewem Wiślanym.

Nie pomagały też lokalne media. „Kartuzy. Drożyzna krzyczy nawet z banerów na ulicach” – donosił „Express Kaszubski”. „Na ulicach Lwówka Śląskiego pojawił się baner z hasłem »PiS = drożyzna«. Tym samym stolica powiatu lwóweckiego dołączyła do ogólnopolskiej akcji” – czytaliśmy w serwisie lwówecki.info, gdzie co prawda poinformowano, że to przedsięwzięcie PO, ale zdefiniowano je jako „kampanię outdoorową mającą na celu zwrócenie uwagi na problem drożyzny w kraju”.

Do biura Platformy Obywatelskiej wysłaliśmy wiele pytań (dotyczących m.in. liczby wykorzystanych nośników reklamowych czy dokładnych kosztów akcji) dziewięć dni przed zamknięciem tego numeru „Sieci”. Odpowiedzi nie otrzymaliśmy, bo – jak wytłumaczył nam w ubiegłym tygodniu Jan Grabiec – nasz e-mail trafił do prawników, którzy pochylają się nad tym, czy interesujące nas kwestie stanowią informację publiczną i czy można je ujawnić.


Sam rzecznik (a jednocześnie skarbnik) PO nie potrafił podać nam szczegółowych informacji, ale zapewnił, że wszystko opisuje umowa zawarta przez Platformę Obywatelską ze spółką True Media Story. Chodzi o dokument z 20 marca, który w partyjnym rejestrze opiewa na kwotę niespełna 1,8 mln zł. Zawierać się mają w nim wszelkie wydatki – wynajęcie nośników, druk i rozklejenie plakatów, a także wynagrodzenie dla agencji.

Musimy więc przyjąć, że największa kampania reklamowa, jaką widzieliśmy w polskiej polityce w ostatnich latach, kosztowała jedynie niecałe 2 mln zł. Dlaczego „jedynie”? Bo przy takiej skali – rozsiania plakatów po absolutnie całej Polsce – to nieduże koszty, nawet uwzględnivszy potężne rabaty, jakie zwyczajowo przyznają firmy outdoorowe.

– Kilka miesięcy wcześniej przeprowadziliśmy kampanię billboardową o czterokrotnie mniejszym zasięgu niż ta Platformy. Kosztowała ponad 1 mln zł. Aż nie chce mi się wierzyć, że nasi konkurenci nie wydali na swoją co najmniej

4 mln – mówi nam jeden z doradców premiera.

Może Platforma znalazła lepszego kontrahenta, który wynegocjował jej jeszcze lepsze rabaty? True Media Story to spółka prowadzona przez Pawła Szkutę i Annę Gościński, parę nie tylko w biznesie, lecz także w życiu prywatnym. Ich firmę śmiało można nazwać niewielką. Siedzibę mają w mieszkaniu na warszawskim Wilanowie, ale są tak skromni, że nie znajdziemy ani ich strony internetowej, ani nawet numeru telefonu. Nie dowiemy się więc np., jakie mają doświadczenie w branży i czy warto im powierzyć 2 mln zł na arcyważną akcję polityczną.

Dopóki PO nie zechce podać szczegółowych danych o swojej kampanii, trudno precyzyjnie oszacować jej rynkową wartość. Nie każdemu to oczywiście jest potrzebne. Są przecież tacy, dla których cena nie gra roli. Mają z czego, więc zapłacą. A potem to się jakoś wyrówna. Zasada wzajemności musi obowiązywać. Bogacze dla Platformy, Platforma dla bogaczy. 



Socjalna ofensywa Kaczyńskiego

Cztery programy ogłoszone przez PiS w ciągu ubiegłego weekendu – to największa od siedmiu lat socjalna ofensywa, z jaką mamy do czynienia we współczesnej Polsce



JAN ROKITA

Najpierw zaskakujące zapowiedzi szefa PiS podczas partyjnego mitingu, wywołujące żywiołowy entuzjazm licznie zgromadzonego aktywu. A cztery dni później – posiedzenie rządu i formalne postanowienia. To nie po raz pierwszy w takim właśnie trybie są ogłaszane te polityczne decyzje, na których rozgłosie i dotarciu pod strzechy szczególnie zależy liderom obozu władzy. No i musi być jeszcze popkulturowy slogan, tym razem o ośmiu setkach złych i ośmiu gwiazdkach, który będzie

do znudzenia powtarzany w rządowej propagandzie przez następne dni, tak by wbił się w każde ucho i zożydził politycznego wroga.

Jednak tym razem operacja z nowym pakietem socjalnymi daleko wykracza poza wymiar przedwyborczej propagandy. Nie będzie przesadą powiedzieć, że cztery programy ogłoszone przez PiS w ciągu ubiegłego weekendu – to największa od siedmiu lat socjalna ofensywa, z jaką mamy do czynienia we współczesnej Polsce. Porównywalna, jeśli chodzi o rozmiar i polityczne znaczenie, tylko z przełomem lat 2015/2016, czyli początkami drugich rządów PiS.

ZASIŁEK 800+

Podwyżka zasiłków na dzieci, i to wyraźnie powyżej skumulowanej inflacji. Zapowiedź rychłego zaprowadzenia darmowej jazdy po wszystkich drogach.

Darmowe listy leków dla emerytów, dzieci i młodzieży. A to wszystko uzupełnione przez rząd instytucjonalizacją wypłacanej odtąd na stałe przez budżet tzw. 14. emerytury. Razem układa się to w rozległy plan wzrostu redystrybucji polskiego dochodu narodowego, nakierowany na różnorodne grupy beneficjentów.

Spektakularna podwyżka zasiłku na dzieci jest formą przywileju dla rodziców małych dzieci, finansowanego pośrednio przez ludzi bezdzietnych i starych. A zważywszy na współczesne przesunięcie wieku, w którym zazwyczaj ludzie mają dzieci, jest to przywilej udzielany przeważnie osobom w wieku od 25–55 lat, czyli kategorii dość rozległej, będącej (mówiąc potocznie) w sile wieku.

Co prawda, ów sławny program zasiłków na dzieci stracił swój walor demograficzny, odkąd świadczenie zostało

rozszerzone na rodziny z jednym dzieckiem, czyli takie, które społeczeństwu nie zapewniają nawet tzw. reprodukcji prostej (1:1). Jednak mimo to wzrost redystrybucji od bezdzietnych i starych w kierunku rodziców w sile wieku i tak odpowiada naszemu poczuciu sprawiedliwości.

W Europie, od czasów antycznej Grecji, ciągle powracają różne koncepcje, mające właśnie w imię sprawiedliwości prowadzić do swoistego karania przez społeczeństwo tych, którzy dzieci nie mają i nagradzania tych, którzy ponoszą trud wychowania przyszłych pokoleń. Nawet zatem jeśli cały ów program nie spełnia pokładanych w nim początkowo nadziei na przełamanie kryzysu demograficznego, to jego finansowe rozwijanie jest sprawiedliwą formą uznania dla tych, którym nadal chce się na przekór dominującym trendom kulturowym wychowywać nowych obywateli.

Jednak każda postać zasiłków na dzieci dyskryminuje starców. Nic dziwnego zatem, że jednocześnie z podwyżką zasiłków obóz władzy ogłasza przywileje dla emerytów. Jedno z drugim tworzy dopiero sprawiedliwiwośćowy balans między pokoleniami. Potrzeba takiego balansu jest zresztą nie tylko wymogiem sprawiedliwości, lecz także polityczną koniecznością dla PiS, którego elektorat jest dużo starszy niż wyborcy opozycyjnego centrolewu. Usankcjonowanie à la longue tzw. 14. emerytury oraz obniżenie do 65 lat (czyli wieku emerytalnego mężczyzn) bariery uprawniającej do korzystania z puli darmowych leków – to odpowiedź PiS na ową podwójną konieczność. O ile więc nie ma wątpliwości, że w obliczu wyborów PiS był zmuszony w jakiś sposób zrównoważyć starcom ich stratę wynikającą z podwyżki zasiłków na dzieci, o tyle forma owego zrównoważenia nie została wybrana najszcześliwiej.

LEKI I „CZTERNASTKA”

Z perspektywy kształtowania dobrych nawyków społecznych państwo nie powinno promować patologicznego obyczaju lekomanii, rozpowszechnionego nie tylko wśród Polaków, lecz

także w całym nowoczesnym świecie (z Ameryką jak zwykle na czele). Fatalną pod tym względem rolę i tak już odgrywa nachalna i wszechobecna reklama koncernów farmaceutycznych, nakłaniająca zdrowych ludzi do zakupu i zażywania leków.

Jest to zjawisko tym bardziej społecznie naganne, że owe koncerny drenują bezkarnie budżety współczesnych państw refundujących leki albo nawet udostępniających je darmowo niektórym grupom społecznym. Mało

Cztery programy ogłoszone przez PiS w ciągu ubiegłego weekendu – to największa od siedmiu lat socjalna ofensywa, z jaką mamy do czynienia we współczesnej Polsce

wiarygodnie brzmią przy tym zapewnienia różnych ekspertów, iż upowszechnianie masowego kupowania i zażywania leków wpływa na poprawę *in gremio* zdrowia publicznego. W tym akurat przypadku tzw. teorie spiskowe, skłonne upatrywać tu raczej interesu wygłaszających takie poglądy, brzmią całkiem racjonalnie.

Roztropna polityka powinna więc raczej udostępniać wszystkim za darmo (albo z wysokim poziomem refundacji) leki ratujące człowieka w najcięższych chorobach, niż marnować miliardy publicznych pieniędzy na upowszechnianie masowej lekomanii w interesie ekspansywnych i brutalnie zachowujących się na rynku koncernów farmaceutycznych. Niestety, rządowi brak odwagi, by przeciwstawić się zarówno koncernom, jak i triumfującej społecznie lekomanii.

Z kolei słabością modelu 14. emerytury jest to, iż łamie on przyjęty w Polsce u końca XX w. system emerytalny, oparty na regule zdefiniowanej składki. Czyli taki, w którym na przyszłość każdy

sam powinien zebrać przez życie fundusze na emeryturę.

Rozstrzygnięcie podjęte obecnie przez rząd Morawieckiego przesądza, że od 2024 r. owa „czternastka” nie będzie mieć *de facto* nic wspólnego z emeryturą, ale stanie się, podobnie jak zasiłek 800+, stałym świadczeniem wypłacanym z budżetu państwa. Państwo tym samym jasno uznaje, iż składkowy system emerytalny nigdy nie stanie się na tyle wydolny, by nie wymagał dodatkowych wydatków budżetowych dla ludzi starych.

W logice socjalnego państwa dobrobytu oznacza to, że drugą obok rodziców wielką grupą społeczną, na której rzecz ma następować trwała redystrybucja dochodu narodowego, będą starcy. Taka logika otwiera na przyszłość przetarg o to, jak wysoki ma być poziom owej redystrybucji. A zważywszy na nieustanny wzrost liczebności ludzi starych, wolno przypuszczać, iż w demokratycznym przetargu o redystrybucję starzy będą dysponować większą siłą od młodych. Na przyszłość nie wróży to zatem dobrze sprawiedliwemu podziałowi dochodu narodowego.

DARMOWE AUTOSTRADY

Jak widać, w tym szeroko adresowanym pakiecie socjalnym zostają nieuwzględnieni tylko ludzie bezdzietni oraz ci w wieku późnośrednim, gdzieś między 55–65 lat. W tym przedziale wiekowym zazwyczaj już nie ma się pod opieką nieletnich dzieci, a jeszcze nie można czerpać z przywilejów, którymi są obdarzani starcy. Co ciekawe, jeśli spojrzeć na wyniki wyborów 2019 r., to okaże się, że w tej grupie wiekowej PiS dysponował wówczas dwukrotną procentową przewagą głosów nad Platformą. Wygląda więc na to, że tego rodzaju precyzyjne kalkulacje wyborcze nie odegrały decydującej roli przy planowaniu reform. Bezdzietni i ludzie w wieku późnośrednim zostali tym razem uznani za tych, którzy mają ponieść koszty przywilejów dla rodziców i starców. Pozostaje im zatem cieszyć się ostatnią z czterech reform socjalnych: darmowymi drogami. To niedoceniana, a ogromna zmiana, stanowiąca odejście

od przyjętego w Polsce (i niemal w całej Europie) rynkowego kanonu współfinansowania dróg publicznych.

Ideę płatnych autostrad, częściowo budowanych i utrzymywanych w systemie partnerstwa publiczno-prawnego, wprowadził w Polsce minister Syryjczyk (za rządu premier Suchockiej). I obowiązywała ona aż do sobotniej mowy prezesa PiS. Jego zapowiedź darmowej jazdy wszystkimi drogami ma charakter radykalny, gdyż dotyczy nie tylko dróg państwowych, lecz także koncesjonowanych.

W tym pierwszym przypadku państwo będzie musiało odtąd ponosić gros kosztów ich utrzymania, a także zwiększyć fundusze na budowę nowych dróg. W drugim – musi wypłacić odszkodowania, zapewne wysokie, prywatnym koncesjonariuszom, co skończy się przewlekłymi sporami prawnymi. PiS zrywa w ten sposób z ideowym dziedzictwem tak podziwianych w Polsce do niedawna Ronalda Reagana i Margaret Thatcher, wracając do modelu radykalnego etatyzmu. Sam raczej nie dowierzam, by ów odwrót mógł być trwały. To tylko kwestia czasu, kiedy na skutek niedostatków funduszy drogowych wróci debata o nowych podatkach drogowych i autostradowych winietach, skoro tzw. bramki mają zostać zburzone jako zniechędzone pomniki liberalnego kapitalizmu (zapowiada to minister infrastruktury). Tak właśnie było w Niemczech, więc i u nas powtórzy się zapewne ta sama historia.


REAKCJA OPOZYCJI

Swoiste *qui pro quo* zdarzyło się na skutek niespodziewanego entuzjazmu, jaki dla nowego pakietu socjalnego okazała opozycyjna centrolewica. Tusk nie tylko poparł projekty Kaczyńskiego, ale wiedząc, że rząd nie ma w tego-rocznym budżecie funduszy na ich natychmiastowe wdrożenie, wniósł do łaski marszałkowskiej projekt 800+ z datą wprowadzenia go od 1 czerwca 2023 r. (jak mówił – na Dzień Dziecka). Jak zwykle pogubił się Hołownia, w pierwszej chwili piętnując reformy jako przekupstwo, zaraz potem w ślad za Tuskiem postulując ich przyspieszenie, aż w końcu zgłaszając chęć poprawiania projektu Platformy. Pakiet poparły również Lewica i PSL, choć to ostatnie stronnictwo (zgodnie z rozsądnym konceptem całości polityki społecznej Kosiniaka-Kamysza) chciałoby ograniczyć krąg beneficjentów do ludzi pracujących i płacących podatki.

W ten sposób załamała się rządowa kampania propagandowa, która miała polegać na sprawdzonej metodzie obśmiania opozycji za to, iż ta nieustannie, wbrew faktom wieszczy załamanie finansów państwa i kryzys fiskalny. Hasło do takiej kampanii dał sam premier, kpiąc na Twitterze: „Znów gra stara płyta. Oni serio nic innego nie mają?... Już mówią, że się nie da, nie ma pieniędzy, zadłużają nas, podniosą podatki. Całkiem to zabawne, słyszałem to już w 2015, 2019...”. Rzecz jednak w tym, że

tym razem stara płyta nie zagrała. Bo poza Konfederacją nie ma już w Polsce siły politycznej chcącej bronić rynkowych pryncypiów albo oszczędnego budżetu. Swoim wieloletnim uporem w dziedzinie polityki społecznej Jarosław Kaczyński skutecznie odmienił ideowe oblicze całej polskiej polityki.

Jeszcze jedna rzecz przy tej okazji zasługuje na szczególniejszą uwagę. Do niedawna kompetentni (jak się mogło zdawać) politycy PiS deklarowali, że bezpłatne drogi ze względów finansowych w Polsce są wykluczone (minister infrastruktury), a podwyżka zasiłku na dzieci „nie jest w ogóle tematem w kierownictwie partii” (sekretarz generalny PiS). Ten ostatni ciekawie teraz wyjaśnia, jak zatem mogły nagle zapaść decyzje, które były albo „wykluczone”, albo w ogóle „nie stanowiły tematu”. Po prostu podjął je jednoosobowo prezes PiS. Sekretarz Sobolewski w taki sposób komentuje ów tryb: „Prezes patrzy dalej, widzi dalej i myśli już do przodu”. Trudno nie przypomnieć sobie słynnej frazy nieszczęsnego niegdysiejszego ministra transportu, który zapewniał nas, iż szef jego partii (czyli PO) to „geniusz naznaczony przez Boga”.

Ale mówiąc już całkiem serio. Pod postacią wielkiego pakietu socjalnego otrzymujemy także przy okazji ważny dowód na to, jak bardzo utrwalił się w Polsce wyzbyty wewnętrznej demokracji, wodzowski model władzy w głównych stronnictwach politycznych. 

Rakieta niespodzianka

Każde polityczne usamodzielnienie się wojska jest w demokracji niedopuszczalne. Od polityki są minister obrony i zwierzchnik sił zbrojnych



STANISŁAW JANECKI

Choć sprawa jest bardzo poważna, wszystko działo się jak na zwolnionym filmie. 16 grudnia 2022 r. nad polskie terytorium wleciała rosyjska rakietka. Była śledzona, ale zniknęła z radarów. Odnaleziono ją dopiero 22 kwietnia 2023 r. i to przypadkowo – w lesie w miejscowości Zamość, niedaleko Bydgoszczy. Dopiero pod koniec kwietnia 2023 r. o rakiecie dowiedzieli się minister obrony, premier i prezydent. Wojskowi mają i muszą wiedzieć, co należy w takiej sytuacji robić, ale to nie wojskowi podejmują polityczne w istocie decyzje, jak informować o tym opinię publiczną, a tym bardziej – jak i kiedy powiadamiać cywilnych przełożonych. To nie wojskowi decydują, jak mają reagować cywilne organy państwa, co takie wydarzenie oznacza dla państwa. Wojskowi nie mogą polemizować ze swoimi cywilnymi zwierzchnikami tym bardziej publicznie, mogą tylko drogą służbową przekazać odpowiednie raporty. Wojsko to nie jest klub dyskusyjny, tylko służba, i to ściśle zhierarchizowana.

Każde polityczne usamodzielnienie się wojska jest w demokracji niedo-

puszczalne. Od polityki są w wojsku i dla wojska minister obrony narodowej oraz zwierzchnik sił zbrojnych. Dlatego niedopuszczalne jest publiczne zwracanie się wojskowych do społeczeństwa, tym bardziej czynnych dowódców. Jeszcze gorsze jest podważanie politycznych kompetencji cywilnych zwierzchników. Nic tu nie zmienia subiektywne poczucie niesprawiedliwości czy krzywdy albo traktowanie cywilów jako tych, którzy się nie znają. To się załatwia drogą służbową, a jeśli efekt jest niezadowolający, pozostaje podanie się do dymisji.

W historii III RP doszło już do sytuacji, gdy wojskowi próbowali ustawiać, a nawet dymisjonować swoich cywilnych zwierzchników. Chodzi mi o tzw. obiad drawski z 30 września 1994 r. To najbardziej wstydlive oraz łamiące wszelkie standardy wydarzenie dotyczące wojska i państwa po 1989 r.

PRZESYŁKA Z ROSJI

27 kwietnia 2023 r. MON poinformowało, że w okolicach miejscowości Zamość, ok. 15 km od Bydgoszczy, znaleziono szczątki niezidentyfikowanego obiektu wojskowego. Dzień później gen. Tomasz Piotrowski, dowódca operacyjny rodzajów sił zbrojnych, przekazał, że „trwają intensywne dochodzenia, sprawdzania, intensywny dialog między różnego rodzaju instytucjami, skąd ten sprzęt mógł się tam znaleźć, jakie jest jego pochodzenie”. 28 kwietnia premier Mateusz Morawiecki powiedział, że

„można połączyć to znalezisko [...] z informacją, którą powzięły nasze służby już w grudniu ub.r.”. Rakietka wleciała do Polski 16 grudnia 2022 r., kiedy to Rosja zaatakowała cele infrastruktury energetycznej Ukrainy. Wystrzelono wtedy 72 rakietki. W Wojsku Polskim wiadano, że rakietka wleciała w przestrzeń powietrzną RP. Poderwano parę dyżurnych myśliwców. Radary uchwyciły trajektorię jej lotu. Rakietka jednak „urwała się spod kontroli” – jak powiedział w Polsat News gen. Waldemar Skrzypczak, były dowódca Wojsk Łądowych.

Rakietka leciała nisko, a ponieważ wojsko działało w trybie pokojowym, miało do dyspozycji środki radiolokacyjne, radarowe i lotnicze. O lecącym w stronę Polski niezidentyfikowanym obiekcie poinformowała polskie wojsko ukraińska obrona powietrzna. Na ekranach radarów rakietka była widoczna jako plamka, której precyzyjnie nie można było zidentyfikować. Dopiero po znalezieniu jej szczątków okazało się, że była to rakietka manewrująca Ch-55 (powietrze-ziemia) o zasięgu 3 tys. km, odpalana z samolotu. Ponieważ nie stwierdzono śladów materiału wybuchowego, rakietka służyła chyba za wabik dla systemów obrony powietrznej. Prawdopodobnie leciała na wysokości 100–1000 m z prędkością ok. 700 km/godz.

Jak mówią wojskowi eksperci, przy wysokości 100 m radar może wykryć taki obiekt w odległości ok. 50 km, ale przy pułapie 1 tys. m z odległości ok.

150 km. Rakieta musiała wlecieć do Polski prawdopodobnie na wysokości Brześcia (licząc od południa). Wysłane samoloty dyżurne nie odszukały lecącej rakiety, więc nie mogły jej zestrzelić. Zresztą od decyzji o podniesieniu maszyn do startu musiało minąć kilkanaście minut, co oznaczało, że rakieta była już głęboko na terytorium Polski.

Siły Zbrojne RP zgodnie z zadaniami w ramach NATO rutynowo kontrolują całą przestrzeń powietrzną od wysokości 3 tys. m. Za pomocą sześciu stacjonarnych radarów dalekiego zasięgu – tzw. Backbone'ów. Cele lecące niżej Backbone'y widzą na odległość nawet dziesięciokrotnie mniejszą niż na wysokim pułapie. Niżej lecące cele mogą być widoczne dla mobilnych radarów, będących na wyposażeniu kompanii i batalionów radiotechnicznych, ale tylko część z nich działa w trybie bojowym i nie pokrywają całego terytorium Polski. Mogło być tak, że rakieta zniknęła z ekranów radarów, gdyż zaczęła spadać.

Obszar poszukiwań szczątków mógł być duży, pewnie dlatego śmigłowiec poszukiwawczy pojawił się dopiero 19 grudnia 2023 r. Poszukiwań później nie kontynuowano. Szczątki rakiety zostały znalezione 22 kwietnia 2023 r. przez kobietę jeżdżącą konno po lesie. Powiadomiła ona o znalezisku policję. Więcej sił, przede wszystkim wojska (w tym funkcjonariuszy kontrwywiadu oraz saperów), policji i straży pożarnej, pojawiło się w Zamościu 26 i 27 kwietnia 2023 r. Zamknięto wtedy obszar ok. 100 ha lasu.

ZANIECHANIA I TŁUMACZENIA

28 kwietnia 2023 r. dowódca operacyjny rodzajów sił zbrojnych gen. Tomasz Piotrowski mówił: „W tamtym czasie, kiedy doszło do takiego zdarzenia, [...] zostały użyte nasze samoloty, [...] w ścisłym współdziałaniu z naszymi zagranicznymi sojusznikami [...] używaliśmy naszych śmigłowców poszukiwawczo-ratowniczych, starając się dojść do tego, co tak *de facto* nasze systemy odnotowały”. 28 kwietnia 2023 r. do sprawy odniósł się premier Mateusz Morawiecki: poinformował, że polecił ministrowi obrony narodowej Mariu-

szowi Błaszczakowi osobisty nadzór nad przebiegiem dochodzenia.

6 maja 2023 r. premier mówił: „Prokuratura prowadzi śledztwo, biegli przystępują do weryfikacji tak, żeby każdy szczegół bardzo dokładnie sprawdzić i dopiero po pewnym czasie, kiedy wnioski z tego postępowania będą przedstawione”.

Wojskowi powinni wiedzieć, co robić w razie naruszenia polskiej przestrzeni powietrznej. I powinni działać. W żadnym przypadku nie mogą jednak zastępować swoich politycznych zwierzchników i z nimi polemizować, tym bardziej gdy ekspercka ocena ich działań wypadła niekorzystnie

11 maja 2023 r. oświadczenie złożył wicepremier i minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak. Zapewnił, że „natychmiast po uzyskaniu wiadomości, że znaleziony w Zamościu [...] obiekt może być rosyjskim pociskiem manewrującym, polecił wszczęcie kontroli w Dowództwie Operacyjnym. [...] Właściwie uruchomiono procedury współpracy sojuszniczej. Podwyższono gotowość bojową naszych środków dyżurnych. W powietrze poderwano dyżurne samoloty – polskie i amerykańskie. Obiekt był odnotowany przez polskie naziemne stacje radiolokacyjne”. W tym aspekcie działania Centrum Operacji Powietrznych były prawidłowe. Jednak „Dowódca Operacyjny zaniechał swoich instrukcyjnych obowiązków, nie informując mnie o obiekcie, który pojawił się w polskiej przestrzeni powietrznej, ani nie informując Rządowego Centrum Bezpieczeństwa i innych przewidzianych w procedurach służb”.

Okazało się, że w „sprawozdaniu operacyjnym Dowództwa Operacyjnego z 16 grudnia, znalazła się informacja, że 16 grudnia nie odnotowano naruszenia ani przekroczenia przestrzeni powietrznej RP, co – jak później się okazało – było nieprawdą”. Nie podjęto „wystarczających działań przez dowódcę operacyjnego w zakresie poszukiwania obiektu.

[...] Do poszukiwań nie włączono żołnierzy Wojsk Obrony Terytorialnej pełniących dyżury. Po 19 grudnia całkowicie zaniechano poszukiwań”. Mariusz Błaszczak zdementował pogłoski, że „odmówił zlecenia poszukiwania obiektu oraz skierowania na miejsce dodatkowych żołnierzy Wojsk Obrony Terytorialnej”. Nie odmówił, bo „taka prośba nigdy nie została skierowana. Gdyby tak było, oczywiście wyraziłbym zgodę, co zawsze robię w takiej sytuacji”. Poza tym „dowódca operacyjny [...] jest zobowiązany do samodzielnego uruchomienia takiego poszukiwania, co niejednokrotnie było przez niego realizowane”.

Wniosek końcowy był taki, że największe uchybienia stwierdzono w zakresie meldowania o zdarzeniu i podjęciu działań poszukiwawczych. Raport przekazano prezydentowi RP i prezesowi Rady Ministrów.

ATAK NA MINISTRA BŁASZCZAKA

12 maja 2023 r. ukazał się komunikat Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Okazuje się, że „26 kwietnia 2023 r. ok. godz. 20.15 szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego Jacek Siewiera został poinformowany przez wicepremiera, ministra obrony narodowej Mariusza Błaszczaka o znalezieniu w lesie pod Bydgoszczą niezidentyfikowanego obiektu wojskowego”. Prezydent Andrzej Duda „został o tym fakcie poinformowany niezwłocznie – ok. godz. 20.30 (godz. 2.30 czasu lokalnego w Mongolii, gdzie prezydent przebywał z wizytą)”. Prezydent polecił „w trybie pilnym przygotowanie w BBN spotkania, które odbyło się o godz. 9.00 (27 kwietnia 2023 r.) i miało charakter niejawnym”. Wedle wiedzy prezydenta nie ma uzasadnienia do „podjęcia decyzji

personalnych dotyczących najwyższej kadry dowódczej Wojska Polskiego, a ponadto prezydentowi RP nie przedstawiono żadnego wniosku w tej sprawie”.

12 maja 2023 r. pojawił się też apel dowódcy operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Gen. Tomasz Piotrowski przemówił, bo „chciał zwrócić się z apelem o rozsądek, o to, abyśmy w nadchodzących dniach bardzo wazyli emocje, abyśmy byli rozsądni w tym, co robimy, abyśmy bardzo ambitnemu i agresywnemu przeciwnikowi nie dawali pożywki, nie dawali się dzielić na grupy. Bo ten przeciwnik już tylko na to czeka”. Generał zapewnił, że „nie ustanie nigdy w dbaniu o bezpieczeństwo naszego narodu, naszego kraju, naszych obywateli”. I „wierzy głęboko, że żyjemy w państwie, które jest silne i sprawiedliwe”, że „jesteśmy świadomi, że żyjemy w kraju demokratycznym, że wiemy, co to jest wymiar sprawiedliwości i nie ulegniemy złym emocjom”.

Takie wystąpienie dowódcy jest w systemie demokratycznym absolutnym kuriozum. Dlaczego? Bo wojskowy zamienia się wtedy w polityka. I do tego w moralizatora.

Dla opozycji incydent w okolicach Zamościa stał się pretekstem do ataku na rząd, a przede wszystkim ministra obrony Mariusza Błaszczaka. Cezary Tomczyk (Koalicja Obywatelska) pytał: „Czy minister obrony narodowej należycie wypełnia swoje obowiązki? Uważam, że nie”. Poseł Paweł Kowal (KO) spekulował: „Najwyraźniej premier podaje opinii publicznej nieprawdziwe informacje. Dlaczego?”. Szef klubu Lewicy Krzysztof Gawkowski mówił: „Skoro były poszukiwania, to musiał wiedzieć szef resortu obrony, a premier mówi, że nic nie wiedział. To albo premier kłamie, albo premier nie wie. I jedna, i druga sytuacja jest skandaliczna”. Radosław Sikorski, europoseł z PO, dramatycznie odnotował, że rakietę spadła ok. 10 km od miejsca jego zamieszkania. Gen. Mirosław Różański, były dowódca generalny Rodzajów Sił Zbrojnych, a obecnie doradca Polski 2050, mówił: „Stawiam pod dużym znakiem zapytania kwestie dotyczące bezpieczeństwa naszego nieba i sprawności systemu, który powinien je zapewnić. [...] Ten pocisk powinien być zniszczony, kiedy jeszcze był w przestrzeni powietrznej”.



Fot. Andrzej Skwarczyński

Dla opozycji incydent z okolic Zamościa stał się pretekstem do ataku na rząd, a przede wszystkim na ministra obrony Mariusza Błaszczaka (na zdj.). A przecież ten minister dokonuje absolutnie przełomowych zmian w armii, czyniąc ją najsilniejszą i najlepiej uzbrojoną formacją lądową w Europie

OBIAD DRAWSKI

Wojskowi powinni wiedzieć, co robić w razie naruszenia polskiej przestrzeni powietrznej. I powinni działać. W żadnym przypadku nie mogą jednak zastępować swoich politycznych zwierzchników i z nimi polemizować, tym bardziej gdy ekspercka ocena ich działań wypadła niekorzystnie. Nie mogą być też uczestnikami, choćby nieświadomymi, działań mających np. obalić ministra obrony. Tym bardziej gdy ten minister (a tak jest w wypadku Mariusza Błaszczaka) dokonuje absolutnie przełomowych zmian w armii, czyniąc ją najsilniejszą i najlepiej uzbrojoną armią lądową w Europie.

Usunięcie Mariusza Błaszczaka to wymarzony cel Rosji i Putina. A jeśli traktować raketę wysłaną nad Polskę jako element wojny hybrydowej, to atakowanie i podważanie kompetencji ministra obrony mogło zostać w Moskwie przewidziane i zaplanowane. No i należy pamiętać o pierwszym w III RP zamachu na cywilnego ministra obrony.

30 września 1994 r. na poligonie drawskim, podczas kursu metodyczno-szkoleniowego najwyższej kadry dowódczej Sił Zbrojnych RP (dowódców okręgów wojskowych i rodzajów Sił Zbrojnych), ówczesny prezydent Lech Wałęsa podpuścił generałów, żeby krytykowali ministra obrony Piotra Kołodziejczyka. A gdy gen. Tadeusz Wilecki, wtedy szef Sztabu Generalnego, zaproponował, by sprawę rozstrzygnąć na miejscu, Lech Wałęsa zarządził głosowanie, kto jest za ministrem, a kto przeciw. Wszyscy wojskowi poza dwoma byli przeciwko ministrowi. Pod naciskiem prezydenta i wbrew opinii Komisji Obrony Narodowej 12 listopada 1994 r. premier Waldemar Pawlak odwołał ministra Piotra Kołodziejczyka. To był rodzaj puczu generałów. A warto pamiętać, że działo się to jeszcze przed wstąpieniem Polski do NATO, gdy przeciwnicy członkostwa kwestionowali cywilną kontrolę nad armią. Podobne wydarzenie nigdy nie powinno się powtórzyć. ▀

Co nam mówi jajo Trzaskowskiego?

Niebieskie jajo dinozaura ustawione w centrum Warszawy może stanowić symbol rządów Platformy. Wyznacza ono bowiem pułap jej osiągnięć. Niestety, wielu mieszkańcom stolicy wcale to nie przeszkadza



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Jajo znajduje się na niedawno wyremontowanym pl. Pięciu Rogów w ścisłym centrum Warszawy. Plac to potencjalnie jedno z ładniejszych miejsc w stolicy, obok domu towarowego braci Jabłkowskich, który cudem przetrwał wojenną zagładę Warszawy, oraz przeszklonego gmachu dawnego CDT – architektonicznej perelki okresu tużpowojennego pokazującej nam, jak mogłaby wyglądać odbudowana stolica, gdyby miasto nie zostało odgórnie zainfekowane socrealizmem. Potencjał placu został jednak zmarnowany podczas remontu, z którego wyłonił się betonowy ni to deptak, ni to ulica.

NIELUDZKI POMNIK

Tydzień temu między rachitycznymi drzewkami ustawiono niebieskie jajo. Początkowo nawet go nie zauważyłem. Tyle na warszawskich ulicach jest rozmaitego badziewia, że człowiek niekiedy mimowolnie odwraca wzrok, biorąc taką instalację za kolejną reklamę lub tandetną inwestycję w rodzaju paździerzowej strefy wypoczynku uruchomionej parę lat temu pod ratuszem. Dopiero w powrotnej drodze jajo ukazało mi się w całej swojej absurdalności. Niebie-

skie, co najmniej dwumetrowe, leżało na chodniku, przed sporych rozmiarów kałużą, w którą łatwo mógł wdepnąć zaintrygowany przechodzień. Kałuża miała być chyba fontanną, ale najwyraźniej ciśnienie wody było zbyt niskie i zamiast efektownego pióropusza bijącego z chodnika zrobiła się brudna sadzawka.

Wokół jaja kręciło się kilka osób. Podobno po przytknięciu ucha słychać odgłosy pisklęcia. Nie wiem, nie próbowałem przytykać ucha, zresztą dowiedziałem się o tej atrakcji nieco później, gdy postanowiłem sprawdzić w internecie, o co właściwie chodzi z tym jajem. I wtedy dopiero zostałem uświadomiony, że to nie jest byle jakie jajo, ale jajo drozda za 0,25 mln zł, które wypłacono Joannie Rajkowskiej – autorce m.in. słynnej palmy na rondzie de Gaulle'a.

Wiceprezydent Warszawy Aldona Machnowska-Góra wyjaśniła ciemniakom, że jajo mówi nam „o nieludzkich mieszkańcach Warszawy, o pewnej naszej wrażliwości, chęci o tym, żeby mówić, że nieludscy mieszkańcy Warszawy też są wokół nas”. Nie zrozumieli państwo? Nie szkodzi, ja też z początku nie rozumiałem. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że pani wiceprezydent mówiącej o nieludzkich mieszkańcach Warszawy nie chodziło o uhonorowanie zwyrodniałców, lecz o zwierzątko. Tak bowiem w postępowym żargonie określa się ptaszki, pieski, kotki, pszczołki i muszki – jako nieludzkich mieszkańców. Niebieskie jajo jest więc symbolem życia, ale nie ludzkiego, bo ono przecież nie zasłu-

guje na szczególną ochronę i pomniki, ale tego nieludzkiego.

Przed wszystkim jednak jajo jest symbolem rządów PO nieprzerwanie sprawującej władzę w Warszawie od blisko 17 lat. Rafał Ziemkiewicz, parafrazując Ryszarda Ochódzkiego z „Misia”, napisał na Twitterze, że „to jest jajo na miarę naszych możliwości. Wiecie, co my robimy tym jajem? My nim otwieramy oczy niedowiarkom. Patrzcie, mówimy, to wasze, przez was sfinansowane. I to nie jest wcale nasz ostatni skok na waszą kasę”.

BEZPAŃSKIE MIASTO

Wielu mieszkańcom Warszawy wcale to jednak nie przeszkadza, że są od lat robieni w balona. Mało tego, oni to doceniają i nawet czują się z tego powodu perwersyjnie zadowoleni. W tym miejscu muszę zrobić drobną, dyskryminacyjną uwagę: otóż należy odróżnić mieszkańców Warszawy od warszawiaków. Nie chodzi mi wcale o to, że tzw. rdzenni warszawiacy są lepsi od ludności napływowej, bo takie uogólnienia są zwykle nieprawdą, zwłaszcza że w obu grupach znajdują się mądrzejsi i głupszy, lecz o to, że nie wszyscy mieszkańcy Warszawy utożsamiają się z miastem, w którym przyszło im żyć. I niewiele ich ono obchodzi.

Bo gdyby ich obchodziło, to przecież sprzeciwialiby się chyba – przynajmniej w większym stopniu, niż to się dzieje teraz – nieudolnemu zarządzaniu i wyrzucaniu pieniędzy w błoto. Są bowiem środki na jajo, na kupę gruzu na



Niebieskie jajo kosztowało stolicę 0,25 mln zł. Wiceprezydent miasta wyjaśniła, że jajo mówi „o nieludzkich mieszkańcach Warszawy”. Nie zrozumieli państwo? Nie szkodzi

Ursynowie (nazwaną „lapidarium”), na tęczowe tramwaje i postępowe fundacje zaprzyjaźnione z miastem, ale nie ma ich np. na rozwój komunikacji czy na wsparcie handlu i usług, które z powodu horrendalnych czynszów zostały niemal wyrzucone ze śródmiejskich dzielnic. Miejsce dawnych sklepów, księgarni, punktów usługowych zajęły banki, usługi stomatologiczne (proszę zobaczyć, ile się tego ostatnio pojawiło) oraz wszechobecne Żabki jako namiastki sklepów.

Owszem, można powiedzieć, że to zupełnie naturalny proces związany z gwałtownym wzrostem cen w śródmieściu i ucieczką ludzi na tańsze peryferia. I rzeczywiście tak jest, ale dobry gospodarz miasta starałby się przynajmniej to zahamować. Tymczasem władze Warszawy nie radziły

sobie z zarządzaniem miastem i traktowały powierzona im stolicę jako balast sprawiający ciągle kłopoty. Nic więc dziwnego, że zachowywały się jak syndyk masy upadłościowej, którą trzeba szybko upłynnić z jak największym zyskiem. A co z nią będzie się działo później, to już nie ich zmartwienie.

Doniedawna sprzedawano spekulantom kamienice wraz z mieszkańcami, których jedyną winą było to, że nie mieli

wystarczająco dużo pieniędzy, by wykupić mieszkania, w których często żyli od urodzenia. Ułatwienia dla deweloperki sprawiły, że mimo rzekomo ekologicznej wrażliwości władz Warszawy stawiano apartamentowce na każdym wolnym skrawku zieleni. Z powodu braku planów zagospodarowania miasto rozrastało się w niekontrolowany sposób, co doprowadziło do monstrualnych korków na drogach dojazdowych. Remonty dróg prowadzono i nadal prowadzi się bez sensownej koordynacji, co jeszcze bardziej zaburza funkcjonowanie stolicy.

Jednocześnie stale rosną koszty życia, co tylko częściowo jest związane z ogólną sytuacją gospodarczą. Tylko częściowo, bo jak choćby pokazuje niedawna afera śmieciowa w Warszawie, nie wszystkie opłaty pobierane od mieszkańców trafiają do budżetu stolicy. To wszystko im najwyraźniej nie przeszkadza, skoro ponad połowa z nich przedłuża mandat Platformie w kolejnych wyborach. Właś-

nie to mam na myśli, mówiąc, że wielu mieszkańcom Warszawy w ogóle nie zależy na mieście, w którym żyją. Na czym im w takim razie zależy?

WARSZAWSKI ZAŚCIANEK

Przede wszystkim zależy im na sobie. Najważniejsze, żeby im było wygodnie, dwie ulice dalej może być choćby potop. Zawsze można przecież oddzielić się od hołoty wysokim płotem. Ważne też, żeby był dobry dojazd autem do pracy, sklepu i szkoły dla dziecka. Władze miasta, jeśli w ogóle są z czegośkolwiek rozliczane, to wyłącznie z przepustowości ulic i z liczby miejsc parkingowych. Nie twierdzę, że to w ogóle nie ma znaczenia, ale to trochę niskie wymagania jak na rzekomo oświeconych ludzi, za jakich się w większości uważają, a przy tym świadczące o niechęci do jakiegokolwiek interakcji z otoczeniem. Zero myślenia szerszego, wspólnotowego, świadomości, że w mieście istnieje publiczna przestrzeń, z którą należy się dzielić z innymi. Jeśli komuś to nie odpowiada, bo przecież nie musi, zawsze może sobie kupić grunt w głuszy i zbudować tam dom. Jeżeli jednak mieszka wśród ludzi, to powinien zrozumieć, że nie jest sam i nie wszystko będzie podporządkowane jego wygodzie.

Problem w tym, że ten nieco nieokrzesany mieszkaniec Warszawy, o którym mowa, nie opuści miasta, bo cały swój życiowy awans, sukces, zawdzięcza życiu w stolicy. I chciałby z niej tylko brać, niewiele dając w zamian. Jeszcze raz podkreślę, że nie chodzi mi o każdego mieszkańca Warszawy, ale tylko o tych, którzy traktują to miasto instrumentalnie – wyłącznie jako miejsce własnej kariery i eksploatacji.

Oni tu aspirują. Niewiele wiedzą, niewiele przeczytali, niczym się nie interesują, a świat znają bardzo powierzchownie. Jednak wydaje im się, że stanowią elitę społeczeństwa, które mają zresztą w głębokiej pogardzie. Ten fenomen wielokrotnie opisywano. Ludzi, osiągających w III RP bardzo szybki awans, głównie ekonomiczny, i rzeczywiście w środowiskach, z których się wywodzą, mogących uchodzić za elitę. Bo jako pierwsi od pokoleń zdołali odnieść wymierny sukces.

To ostatnie spostrzeżenie jest ważne, bo ich poczucie elitarności jest pozbawione głębszego zakorzenienia, a to oznacza, że tak naprawdę jedynie imitują coś, co wydaje im się elitarne. To trochę tak jak w Rosji, gdzie pozycję społeczną wyznacza drogą samochód, drogi zegarek i 10 kochanek. U nas może nie jest aż tak źle, ludzie są jednak bardziej cywilizowani, ale mechanizm jest podobny – wzorce nie tkwią w rodzinnej historii, lecz w nieudolnym podpatrywaniu, jak to inni żyją w świecie. Kiedyś wzorcem takiej poźalsiej Boże elitarności był serial „Dynastia” (być może niektórzy pamiętają jeszcze kreacje Jolanty Kwaśniewskiej oraz prząsną elegancję ówczesnych biznesmenów), dzisiaj wyznacza ją kultura wielkich korporacji,

Wielkie korporacje wychowały całe pokolenie „światowców”, którzy żyją w oderwaniu od szerszego kontekstu społecznego. Czy można oczekiwać, że tacy ludzie zatroszczą się o Warszawę?

które wychowały nam już całe pokolenie współczesnych „światowców”.

Ci „światowcy” wszystko traktują utylitarnie. Żyją w oderwaniu od szerszego kontekstu społecznego. Jeśli ktoś odwołuje się do norm, zasad, wartości, dobra wspólnego, to natychmiast to odrzucają. Bo im to przeszkadza w życiu, nie czują się z niczym mocniej związani. Czy ktoś powinien więc oczekiwać, że tacy ludzie będą troszczyć się o Warszawę, nawoływać władze miasta do roztropności i rozliczać ją z jej błędów i zaniedbań? A co ich to obchodzi? Oni nie mają z tym nic wspólnego.

Im wystarczy, że Rafał Trzaskowski mówi po francusku, a władze Platformy są poklepywane w Berlinie i Brukseli po plecach. Patrzcie, jak ich tam lubią, my też chcemy, by nas przyjaźnie poklepywano. Też jesteśmy fajni. Bardzo

wstydzimy się swoich korzeni, odcięliśmy się od nich i już więcej nie chcemy mieć z nimi nic wspólnego.

ŚWIATOWY UROK ŻARÓWKI

Niebieskie jajo dinozaura (przepraszam: drozda) jest więc dla nich. Pomyślą sobie, ależ jesteśmy awangardowi, światowi, wrażliwi na sztukę nowoczesną. I nie będzie im przeszkadzać, że zaledwie kilkaset metrów dalej – przy Marszałkowskiej – ziele ogromny krater w ziemi, zwany szumnie stacją metra Centrum. Że jest tam niczym w jakimś rosyjskim Muchosrańsku – brzydki i tandetnie. I od ponad ćwierćwiecza nikt z tym nic nie robi. Zresztą po co rządząca miastem Platforma ma coś z tym robić, skoro jej wyborcy najwyraźniej swojsko się czują w takim Muchosrańsku?

Przypomina mi się tutaj anegdota pochodząca jeszcze z początku prząsnych lat 90., gdy władze Warszawy (prezydentem był wtedy chyba Marcin Świąćicki, dawny sekretarz KC PZPR, dziś afiliowany przy PO) zaczął rozwieszać na Trakcie Królewskim tandetne sznury żarówek przywodzące na myśl girlandy uliczne w stolicy Białorusi. Usłyszałem wtedy od jednej pani w średnim wieku, obecnie bardzo antypisowskiej, że wreszcie Warszawa wygląda jak prawdziwe europejskie miasto.

Niektórym mieszkańcom naprawdę niewiele trzeba, by zaspokoić ich światowe aspiracje. Żarówka, jajo, no i oczywiście poczucie własnej, mocno naciąganej elitarności. Warszawski antypisizm, zabarwiany niekiedy zwykłym prostactwem, żywi się pogardą dla innych i kompleksami. Zresztą nie chodzi tu tylko o Warszawę. W skali całej Polski jest przecież podobnie. Czy ktoś myślący uważa, że ludzie, którzy popierają Tuska, robią to z pobudek patriotycznych, z poczucia dumy, odpowiedzialności za własne miasto, państwo?

Tylko pogrążającej się w zastoju Warszawy szkoda. Bo stolica pręźnie rozwijającej się Polski zasługuje na znacznie więcej.

Potrzebujemy sojuszu konserwatystów i lewicy przeciw alkoholizmowi



Z Janem Śpiewakiem,
socjologiem i publicystą,
rozmawia Goran Andrijanić

Od niedawna zaciekle pan walczy z reklamą alkoholu. Dlaczego?

Jan Śpiewak: Moim zdaniem to jest jeden z najważniejszych tematów społecznych w Polsce w tym momencie. Do niedawna nie byłem świadomy, jak poważnym problemem jest alkoholizm. Sam nie pochodzę z rodziny alkoholowej, ale widzę, jakie spustoszenie alkohol robi wśród moich najbliższych i w polskim społeczeństwie.

Jakie?

Mamy ok. 1 mln alkoholików, a niektóre dane mówią, że ich jest dużo więcej, nawet 4 mln. Mamy dużo większe spożycie alkoholu na głowę mieszkańca, niż to było w latach 80. i 90. Mamy ogromną liczbę ofiar wypadków samochodowych spowodowanych przez pijanych kierowców. Każdego roku z powodu alkoholu umiera 30–40 tys. ludzi. W tym samym czasie dziesiątki czy setki tysięcy znajdują się w szpitalach i na SOR, a trafiają tam z powodu używania alkoholu. Kolejki do lekarzy są w dużym stopniu winą alkoholików.

Mamy też – i wydaje mi się, że to nie do końca wybrzmiało w opinii publicznej – przemoc w rodzinach, której towarzyszy alkohol i jest często jej źródłem. Śmierć małego Kamila z Częstochowy jest tego przykładem. On był wychowany w rodzinie alkoholowej, a tego tematu jako powodu przemocy, której był ofiarą, jakimś dziwnym trafem nikt nie porusza.

Jak pokazują policyjne statystyki, 76 proc. przypadków przemocy domowej towarzyszy alkohol, który jest bardzo ciężkim narkotykiem, wywołującym stany psychotyczne i agresję, szczególnie kiedy nadużywa się go latami.

Państwo polskie całkowicie zderegulowało rynek alkoholowy i puściło go samopas. I to daje fatalny rezultat. Koszty państwa spowodowane walką z konsekwencjami alkoholizmu sięgają co roku 35 mld, a nawet 60 mld zł. To roczny koszt programu 500+

Ten związek alkoholu i przemocy pokazują wszystkie statystyki. Kiedy w Olsztynie wprowadzono nocną prohibicję, zakaz sprzedaży alkoholu między godz. 22 a 6, liczba drobnych przestępstw spadła w połowę. Polskiego społeczeństwa po prostu nie stać na utrzymywanie biznesu alkoholowego. A ten biznes finansujemy z naszych podatków. Co roku generuje on ok. 13 mld zł w akcyzie, a koszty państwa spowodowane walką z konsekwencjami alkoholizmu sięgają 35 mld, a nawet 60 mld złotych. To roczny koszt programu 500+.

Jak Polska wypada w statystykach związanych z alkoholem w porównaniu do innych państw europejskich?

Polska jest w czołówce statystyk związanych z alkoholizmem. Problem w tym, że Europejczycy w ogóle dużo piją w stosunku do całego świata. Z kolei sposób picia Polaków jest inny niż w Europie. Na Zachodzie albo na południu Europy alkohol jest elementem kultury spożywania posiłków. W Polsce mamy dużo ludzi, którzy piją w sposób niebezpieczny, do odcięcia, do całkowitego nachlania się. I to ma bardzo negatywne konsekwencje społeczne.

Dlaczego Polacy piją w ten sposób?

Wydaje mi się, że w Polsce wiele problemów społecznych próbujemy zapić alkoholem. Stres w pracy, problemy domowe i trudności z wychowywaniem dzieci, brak alternatywnych rozrywek dla młodzieży... Alkohol staje się lekiem na różne problemy. A tak naprawdę sam jest źródłem problemów. Alkohol jest jednym z najmocniejszych depresantów, który jeszcze pogłębia choroby psychiczne.

Dalej, problem jest też w dostępności alkoholu, który jest najbardziej dostępnym produktem spożywczym, sprzedawanym całą dobę. Kto kupuje alkohol po godz. 22? Tylko pijani, a nie ludzie trzeźwi. Państwo polskie całkowicie zderegulowało rynek alkoholowy i puściło go samopas. I to daje fatalny rezultat.

Pamiętam, kiedy po raz pierwszy przyjechałem do Polski, wyjaśniono mi, że picie wódki jest częścią tutejszej

kultury. Wydaje mi się, że mówimy o głębszych zjawiskach.

To jest bardzo głęboka rzeczywistość. To się zaczęło jeszcze w czasach feudalnych. Przywilej propinacyjny, czyli obowiązek kupowania przez chłopów alkoholu od pana, był narzędziem kontroli społecznej. Poza tym chłopom musieli na to wydawać ogromne pieniądze. Kiedy dziś patrzysz na liczbę sklepów nocnych, masz poczucie, że przywilej propinacyjny wrócił i znowu mamy do czynienia z obowiązkiem picia.

Oczywiście do tego dołącza kultura „Kto nie pije, ten donosi”, „Ze mną się nie napijesz?” czy temu podobne powiedzenia. Jest ogromna środowiskowa presja na picie alkoholu. Popatrz na wesela. Zrób w Polsce wesele bez alkoholu. To jest niemożliwe! Łatwiej się da w Polsce zrobić wesele bez dzieci niż bez alkoholu. To dużo mówi o naszych priorytetach. I to wymaga po prostu moralnej odnowy. Potrzebujemy ruchu, który przywróci wartości tradycyjne. Wartości, które na pierwszym miejscu stawiają dobrostan rodziny i osób słabszych, przede wszystkim dzieci, które są często ofiarą alkoholu. Byłoby dobrze przestać przyznawać pierwszeństwo dobru biznesu alkoholowego. Swoją drogą ciężko to nazwać biznesem, bo to są kartele, a ich działalność przypomina działalność narkotykową, a nie biznesową.

Jest pan przedstawicielem lewicy, ale mówi o wartościach tradycyjnych. Czy jest miejsce na współpracę sił konserwatywnych z lewicą?

Tutaj musimy współpracować. Przypomnę ważną rzecz. W 1982 r. przyjęto ustawę o wychowywaniu w trzeźwości. Kto najbardziej chciał tej ustawy i jej bronił? Episkopat Polski i związek Solidarność. Na strajkach Solidarności nie było alkoholu. Ta abstynencja była ruchem oddolnym robotników, który uświadomił, jakie piekło alkohol gotuje rodzinom i jakim jest źródłem nędzy i poniżenia. To samo było z socjalistami na początku XX w. To, że dziś lewica jest po stronie korzystania z narkotyków, to wynaturzenie. Robert Biedroń, który mówi, że marihuana jest świetnym antydepresantem, co jest oczywistym kłamstwem, albo poseł Kopiec, który

reklamuje piwo Palikota. To nie jest żadna lewica. To są prokapitalistyczni libertarianie.

Chodzi o to, żeby stworzyć sojusz ludzi, dla których najważniejsza jest wspólnota i solidarność, a nie egoizm. Sojusz między – nazwijmy to – środowiskami konserwatywnymi i lewicą, ale prawdziwą lewicą, jest konieczny, żeby coś mogło się ruszyć w tej sprawie. Przy czym jest potrzebna nie tylko zmiana kulturowa, lecz także konkretna zmiana przepisów, ponieważ – jak wcześniej wspominałem – mamy dziś do czynienia z silną tendencją deregulacji rynku alkoholowego, która jest szkodliwa.

W jaki sposób?

W latach 90. piliśmy prawie o jedną trzecią mniej alkoholu niż dzisiaj. Wtedy była zakazana reklama wszelkiego alkoholu. Teraz mamy wyjątki od tego zakazu. W latach 90. były stoiska alkoholowe, a nie jak dzisiaj, że wchodzisz do sklepu i masz za kasą zmrożone małpki. Przecież to jest koszmar dla trzeźwego alkoholika.

Mieliśmy zatem już przepisy i sukcesy w walce z alkoholizmem, ale się cofnęliśmy. Warto dodać, że to cofnięcie nastąpiło w czasach rządu Leszka Millera, w 2003 r. Doszło wtedy do obniżenia akcyzy na alkohol i umożliwiono reklamowanie piwa. Polska ma wyjątkowo niskie ceny alkoholu. Przez ostatnich 20 lat butelka wódki podrożała z 19 zł na 23 zł. A ile w tym czasie podrożał chleb?

Moim zdaniem akcyza na alkohol musi wzrosnąć, konieczny jest też zakaz takich promocji jak podczas majówki, kiedy za 31 zł można było kupić 20 piw. Po pierwsze, to nie jest żaden browar, ale wywar etanolowo-wodny, który nie ma nic wspólnego z piwem. Po drugie, takie reklamy wykorzystują wielkie korporacje, które zresztą nie są polskie. To nie jest polski kapitał, bo większość tego rynku jest w obcych rękach. Pozwalamy więc na folwarczną, kolonialną gospodarkę, która polega na tym, że na każdym rogu są sklepy z alkoholem, wysysającym soki żywotne ze społeczeństwa i pieniądze z naszych portfeli, które potem są transferowane za granicę. To jest absurdalnie. Trzeba zrobić z tym porządek.

I za ten absurd możemy podziękować m.in. deregulacji z 2003 r.?

Tak. Stały za nią interesy wielkiego biznesu. Wtedy prywatyzowano Polmosy i sprzedawano je za granicę. Istniał pomysł, żeby zwiększyć sprzedaż alkoholu dla polepszenia rentowności tego biznesu. Chyba nie muszę mówić, jak wyglądała prywatyzacja w czasach Millera. Wszyscy pamiętamy aferę Rywina i nie ma wątpliwości, że takie zachowanie było wówczas standardem. Sprzedaliśmy więc za paciorki Polmosy, obniżyliśmy radykalnie akcyzę na alkohol i umożliwiliśmy reklamowanie piwa. Dzisiaj skutek tego jest taki, że dla większości populacji piwo nie jest alkoholem. Lekarze prowadzący wywiady w szpitalach są uczeni – podkreślam, uczeni tego – żeby najpierw zapytać o alkohol, a potem zapytać o piwo. Kartele alkoholowe przez 20 lat zrobiły takie pranie mózgow Polakom z pomocą reklamy, że wydaje im się, że piwo nie jest alkoholem. Co więcej, polskie piwo jest mocniejsze niż piwo chociażby w Czechach.

To jest gotowy przepis na moralną i ekonomiczną katastrofę.

Z pana zawiadomienia Kuba Wojewódzki i Janusz Palikot dostali zarzuty prokuratorskie za nielegalną reklamę wódki.

Tak. Z kolei Palikot mnie pozwał na 100 tys. zł. Wiemy, że jest pupilkiem salonu liberalnego, zresztą Kuba Wojewódzki też. Ci ludzie zrobili rzecz absolutnie okropną, bo swoje reklamy skierowali do młodych, nawet niepełnoletnich. Nie ma większego świństwa niż reklamowanie narkotyków dzieciakom. Wiek inicjacji alkoholowej w Polsce się obniżył do 12 lat. Najmłodsza dziewczyna w Polsce, która zmarła z powodu marskości wątroby alkoholowej, miała 18 lat. To są przerażające statystyki. Branża alkoholowa ma poparcie celebrytów i influencerów. Chodzi o potężne loby, bo na alkohol wydajemy ok. 45 mld zł rocznie.

Jeśli chodzi o polityków, pamiętam dyskusje w Sejmie w sprawie podwyższenia akcyzy, która jest niezwykle ni-

ska. Miałem wtedy wrażenie, że kilku posłów było pijanych w trakcie tego posiedzenia.

Producenci piwa są jednymi z głównych sponsorów festiwali rockowych. Picie piwa już dawno stało się modne.

Tak. Jest taki mocny trend w kulturze popularnej. I dlatego potrzebujemy mody na trzeźwy styl życia. I ta moda wśród młodych ludzi jest coraz silniejsza. Dużo zależy od trendów. Branża alkoholowa ma na nie mocny wpływ. Angażuje najlepszych ekspertów, psychologów, neurobiologów, ekspertów

Pozwalamy na folwarczną, kolonialną gospodarkę, która polega na tym, że na każdym rogu są sklepy z alkoholem, wysysającym soki żywotne ze społeczeństwa i pieniądze z naszych portfeli, które potem są transferowane za granicę. To jest absurdalne

od marketingu. Oni dostają ogromne pieniądze, żeby wymyślać te reklamy i uzależniać ludzi.

W Polsce istnieje patokultura, którą promują korporacyjne media. Mamy Facebooka, który dostaje ogromne pieniądze za nielegalną reklamę alkoholu. To się po prostu musi skończyć. Z jednej strony państwo musi zareagować i zacząć regulować ten rynek. Z drugiej – my jako obywatele musimy się organizować i promować inne wartości. Bo zginiemy. Już dziś średni wiek życia mężczyzny w Polsce to ledwie 71 lat. W niektórych województwach spadł nawet do 69 lat. Głównym tego powodem obok pandemii jest alkohol.

Jest wiele głosów, które twierdzą, że ograniczenie dostępności alkoholu niczego nie zmieni.

To są wszystko brednie. Ta narracja jest związana z interesami lobby alkoholowego. Zakaz nocnej sprzedaży alkoholu powinien obowiązywać w całym kraju, a nie tylko w pojedynczych samorządach. A decyzja tych, które to zrobiły, już przyniosła doskonałe rezultaty. Wspominałem, co się stało w Olsztynie. Zestatystyk jasno wynika, że kiedy ograniczamy dostępność alkoholu i jego reklamy, spada jego spożycie.

Moim zdaniem należałoby podwyższyć ceny alkoholu, zakazać jego promocji w sklepach, nocnej sprzedaży w całym kraju, w tym na stacjach benzynowych, oraz objąć całkowitym zakazem reklamowanie alkoholu i zakazać sponsorowania przez branżę alkoholową wydarzeń kulturalnych i sportowych.

Atakował pan niedawno Kanał Sportowy z powodu reklamowania piwa.

Tak. Kanał Sportowy regularnie łamie ustawę o wychowywaniu w trzeźwości. To jest przerażające, szczególnie kiedy wiemy, ilu ludzi w sporcie złamało sobie karierę albo zginęło przez alkohol. Krzysztof Stankowski, lider Kanału, to dobrze wie, ale zamiast refleksji reklamuje „sportowe piwo”. Czekam tylko kiedy w Polsce zaczną reklamować „sportowe papierosy”.

W jaki sposób agencje reklamowe wykorzystują luki w przepisach?

Rząd Millera doprowadził do zmiany ustawy w tym sensie, że dopuszczono do reklamowania piwa, ale pod szczególnymi warunkami. Piwo nie może się kojarzyć z relaksem, atrakcyjnością fizyczną, sukcesem. Reklama nie może być kierowana do młodych ani nie może namawiać do nadmiernego picia. Popatrz, jak wyglądają te wszystkie reklamy. Właśnie robią to, co zakazane. Dlaczego prokuratura na to nie reaguje? Większość telewizyjnych spotów po godz. 20 to reklamy piwa i leków na potencję. To, co się dzieje w internecie, to jeszcze większy Dzik Zachód. Tam już nic nie obowiązuje. To wymaga wzięcia za twarz cyfrowych korporacji i gigantów, którzy nic sobie nie robią z polskiego prawa.

Czekając na drugą falę rewolucyjną na Białorusi

Wszyscy obserwujący sytuację na Białorusi zgadzają się w jednym – ewentualne odejście Łukaszenki spowoduje wybuch kryzysu, który może przesądzić o przyszłości kraju. Na co liczy opozycja? Jak zachowa się Moskwa?



MAREK BUDZISZ

Łukaszenka choruje. Nie do końca wiadomo, co mu dolega, są tacy, którzy twierdzą, że miał zawał, inni mówią o ciężkiej grypie albo o zapaleniu mięśnia sercowego. Z pewnością nie wygląda dobrze. W trakcie niedawnych obchodów 9 maja w Moskwie nie mógł samodzielnie przejść 300 m, które dzieliło trybunę honorową od grobu nieznanego żołnierza, przy którym składano kwiaty.

Na lotnisko przyjechał karetką pogotowia, a potem szybko wrócił do Mińska, nie biorąc udziału w bankiecie. Obserwatorzy zauważyli też, że miał rękę na temblaku, co zdaniem wypowiadających się na ten temat lekarzy mogło być świadectwem tego, że przyjmował kroplówki.

Po powrocie na Białoruś dyktator zniknął z życia publicznego. Nie przemawiał na lokalnych uroczystościach związanych z zakończeniem wojny, w jego imieniu wystąpił minister obrony Wiktar Chrenin. Ku zaskoczeniu dziennikarzy nie pojawił się również na swoim ulubionym Święcie Flagi i Godła, podczas którego zastąpił go premier Raman Hałouczenka.

Pogłoski o umierającym dyktatorze stały się tak rozpowszechnione, że w końcu jego służby prasowe opubliko-

wały zdjęcie z wizyty Łukaszenki w jednostce wojsk raketowych. Ale tym razem nadgorliwcy przesadzili z Photoshopem, dyktator wyglądał, jakby był młodszy o 20 lat, zdjęcie więc trzeba było po kilku godzinach usunąć i zastąpić innymi, niepoddanymi tak głębokiej ingerencji. To tylko ożywiło, zamiast uspokoić, spekulacje na temat jego choroby. Tym bardziej że dostrzeżono „worypod oczami” i to, że Łukaszenka miał obandażowaną drugą rękę, co tylko potwierdzało krążące informacje, że po powrocie z Moskwy dyktator spędził kilka dni w klinice rządowej.

Wszyscy teraz na Białorusi i emigracji zastanawiają się, co dalej. Spekuluje się o możliwości otrucia nieuznanego przez świat prezydenta w Moskwie, a prezydenckie służby prasowe wpadły w stu-

por i są wyraźnie mniej aktywne. To ostatnie zjawisko spowodowane jest tym – jak uważają komentatorzy – że w reżimach autorytarnych, kiedy nie ma instrukcji, co robić, wszyscy czekają, kiedy sytuacja się wyklaruje. Tak było w ub.r. po nagłej śmierci Uładzimira Makieja, szefa białoruskiego MSZ, podobnie po ataku partyzantów na lotnisko w Maczuliszczach. O tym, że mamy do czynienia z poważnym kryzysem, mają też świadczyć słowa niektórych funkcjonariuszy reżimu, którzy zaczęli pisać – co wcześniej się nie zdarzało – o chorującym dyktatorze.

DIALOG I PRESJA

Wszyscy obserwujący sytuację na Białorusi zgadzają się w jednym – ewentualne odejście Łukaszenki spowoduje wybuch kryzysu, który może przesądzić o przyszłości kraju. Anatolij Kotau, były współpracownik administracji Łukaszenki, dziś w opozycji, powiedział Radiu Svoboda, że wstrząs polityczny z pewnością będzie miał miejsce. „Dla systemu autorytarnego, jakim jest łukaszyzm, moment przekazania władzy, zwłaszcza nagły, jest głębokim kryzysem. I mówić, że nic się nie zmieni, jest absurdem. Zmiany po odejściu Łukaszenki będą, ale wcale nie ma pewności, że w lepszą stronę”. W jego opinii elita władzy, na którą składają się konkurujące klany biznesowo-polityczne, znacznie rywalizację o to, kto ostatecznie będzie kontrolował państwo. Ukształtuje się coś w rodzaju junty, co będzie oznaczało, że „władza jednego człowieka przekształci się w system kolektywny”, którego istota się nie zmieni i Białoruś nadal pozostanie państwem autorytarnym i prorosyjskim.

Liderzy głównych białoruskich środowisk opozycyjnych również są zdania, że odejście dyktatora doprowadzi być może do przejściowego kryzysu w obozie władzy i ten właśnie moment należy wykorzystać. Walery Kowalewski, zastępca Swiatłany Cichanouskiej w zjednoczonym gabinecie, mówi o tym, że siły skupione wokół byłej kandydatki w wyborach prezydenckich przygotowują się na moment przełomu. Współpracujący z nim Paweł Łatuszka jest zdania, że wówczas trzeba będzie wykorzystać wszystkie narzędzia presji łącznie z użyciem sił wojskowych dziś walczących po stronie Ukrainy, takich jak Pułk Kalinowskiego i inne formacje. Łatuszka

jest przekonany, że Rosja podejmie próbę stabilizowania sytuacji na Białorusi, niedopuszczenia do demontażu systemu autorytarnego i tranzytu demokracji i właśnie z tego powodu może się okazać, że silny opór zarówno społeczeństwa, jak i sił wojskowych będzie niezbędny.

Nie jest to model idealny, bo w większości wypowiedzi przedstawicieli opozycji za taki uznaje się formułę przypominającą polskie obrady okrągłego stołu, porozumienia sił opozycyjnych i części reżimu, którego funkcjonariusze będą poszukiwać swojego miejsca na Białorusi w przyszłości. Paweł Usau, bliski współpracownik Zianona Pazniaka i jeden z liderów ruchu Wolna Białoruś, za idealny scenariusz uznaje rozpoczęcie dialogu w sprawie stopniowej demokratyzacji kraju między tą grupą w łonie reżimu, która po śmierci lub odejściu Łukaszenki zdobędzie władzę, a opozycją. Jednak do tego, by dzisiejsi współpracownicy dyktatora chcieli rozmawiać, będzie potrzebna silna presja zarówno wewnętrzna w postaci strajków i demonstracji, jak i zewnętrzna. W tym ostatnim przypadku ma on na myśli aktywność partyzantów i sił w rodzaju Pułku Kalinowskiego, a także dyplomatyczną pomoc zachodnich sojuszników. Waleryj Cepkała, niedoszły kandydat w wyborach prezydenckich w 2020 r., mówi, że na wieść o śmierci Łukaszenki „miliony Białorusinów wyjdą świętować na ulice i w sklepach zabraknie szampana”. Ten właśnie moment należy wykorzystać, przystępując do drugiej fazy białoruskiej rewolucji.

CO MOŻE MOSKWA?

Z pewnością prócz przedstawicieli reżimu do takiego scenariusza przygotowują się również Moskale. Zdaniem obserwatorów analizujących rozmieszczenie rosyjskich wojsk na Białorusi ich zadaniem nie jest wcale koncentrowanie się, by powtórzyć atak na Ukrainę z północy, ale pilnowanie, by sytuacja wewnętrzna nie wymknęła się spod kontroli. Gdyby było inaczej, to z jakiego powodu rozmieszczano by rosyjskie formacje równomiernie na terenie całego kraju? W razie śmierci Łukaszenki Moskwa podejmie – jak się uważa – próbę stabilizacji systemu. Będzie to oznaczało najprawdopodobniej przekazanie władzy Radzie Bezpieczeństwa, kolektywnemu

ciału zdominowanemu przez przedstawicieli resortów siłowych, lub działanie w zgodzie z białoruskim ustawodawstwem, przewidującym, że tymczasowo, do wyborów, głową państwa staje się Natalia Kaczanawa, dziś przewodnicząca Rady Republiki, polityk bezbarwna, pozbawiona większych wpływów, ale zawsze lojalna wobec Łukaszenki. W tym drugim scenariuszu właśnie ze względu na polityczną słabość przyszłej „liderki” kraju faktyczna władza znalazłaby się zapewne w rękach przedstawicieli resortów siłowych i sterującego procesem tranzytu władzy rosyjskiego ambasadora. Wówczas szybko przeprowadzono by kolejne sfałszowane wybory prezydenckie i dążono do uspokojenia sytuacji.

Trzeba też, kreśląc scenariusze dla Białorusi, brać pod uwagę sytuację na frontach wojny Rosji z Ukrainą. Ołeksij Arestowicz, były doradca Zełenskigo, mówi, że Rosjanie nie mają sił, by okupować sąsiedni kraj. Jesienią ich armia będzie już tak osłabiona w wyniku ukraińskiej kontrofensywy, że dyslokacja znacznego kontyngentu kontrolującego sytuację na Białorusi byłaby obciążona ryzykiem załamania się frontu. A to oznacza, że nawet jeśli Moskale będą chcieli połknąć swojego sąsiada i forsować pogłębienie integracji, to jeśli społeczeństwo powstanie, nie będą tego w stanie zrobić. To ciekawy wątek, bo z analiz wywiadów amerykańskiego i brytyjskiego w istocie wyłania się obraz wyczerpanej rosyjskiej armii, która wykrwawiła się pod Bachmutem i do końca roku nie będzie w stanie prowadzić operacji zaczepnych. Potwierdzają to też doniesienia z Białorusi, według których Rosjanie przysyłają tam nowo zmobilizowanych, by ćwiczyli na poligonach, ale potem wysyłają ich na front wojny z Ukrainą. Zgrupowanie na Białorusi nie jest rozbudowywane, mamy do czynienia z rotacją liczby rosyjskich żołnierzy.

SYGNAŁY Z MIŃSKA

Jeśli zatem naród powstanie ponownie, to odmiennie niż latem i wczesną jesienią 2020 r. Kreml będzie w stanie wspierać reżim być może jedynie dobrym słowem. To może zmienić sytuację, tym bardziej jeśli zgodzić się z opiniami liderów opozycji, że skończył się czas pokojowych protestów i po kolejnym wybuchu trzeba będzie być

może bić się o wolność z bronią w rękę. Nie można wykluczyć, że część przedstawicieli reżimu przygotowuje się na nową sytuację, wysyłając już teraz czytelne sygnały pod adresem Zachodu. Niedawno Walentin Rybakow, białoruski ambasador przy ONZ, powiedział, że głośna deklaracja Putina o dyslokowaniu do sąsiedniego kraju rosyjskiej broni jądrowej to tylko oświadczenie, bo w praktyce żadne działania nie zostały podjęte. Dodał przy tym, że Białoruś, będąc państwem suwerennym, będzie samodzielnie podejmowała tego rodzaju decyzje. Trudno o bardziej wymowny sygnał dystansowania się od polityki Moskwy. Ale są i inne.

Niedawno na białorusko-rosyjskiej granicy stanęły posterunki i wznowiono kontrolę graniczną. Siarhiej Alejnik, szef białoruskiego MSZ, bagatelizuje całą sprawę, mówiąc, że jest to raczej monitoring, granica jest spokojna i straż graniczna jego kraju blisko współpracuje z Rosjanami. Jednak wprowadzenie tego rodzaju środków, również biorąc pod uwagę ich skalę, nie jest sprawą bagatelną. Obóz władzy w Mińsku najwyraźniej czegoś się boi. Może są to białoruscy partyzanci, którzy dziś walczą po stronie Ukrainy i deklarują gotowość wyzwolenia ojczyzny, a może w grę wchodzi inne scenariusze.

Międzynarodowa grupa ekspertów skupionych w projekcie European Network for Belarus opublikowała ostatnio raport, w którym są analizowane cztery możliwe scenariusze rozwoju wydarzeń na Białorusi. Jeden z nich przewiduje, że Moskwa może chcieć kompensować sobie porażkę na Ukrainie białoruskim sukcesem. Jeśli opór społeczny byłby słaby, to wówczas Moskale zaczęliby naciskać na pogłębienie integracji, a propaganda ten proces mogłaby przedstawiać w kategoriach przyłączenia kolejnych obszarów do Rosji. W takim ujęciu wojna z Ukrainą byłaby konfliktem wygranym, bo ruski mir uległby rozszerzeniu, a wrogowie osłabieni.

Ale sygnałów ze strony funkcjonariuszy białoruskiego reżimu świadczących, że być może szukają oni pola manewru i nie cieszy ich wizja przytulenia przez rosyjskiego niedźwiedzia jest zresztą ostatnio więcej. Białoruski minister

spraw zagranicznych oświadczył, że ma nadzieję, iż Li Hui, specjalny wysłannik Pekinu, który przyjechał do Europy rozmawiać o planie pokojowym, odwiedzi również Mińsk, a kwestie przyszłych relacji między Białorusią a Ukrainą przesądzą dwustronne rozmowy. Na przełomie lutego i marca Łukaszenka odwiedził Chiny i wówczas wizyta ta była interpretowana w kategoriach szukania przeciwwagi dla rosnących wpływów Rosjan. Teraz, kiedy być może zbliżamy się do polityczno-negocjacyjnej fazy wojny

Jeśli zatem naród powstanie ponownie, to odmiennie niż latem i wczesną jesienią 2020 r. Kreml będzie w stanie wspierać reżim być może tylko dobrym słowem. To może zmienić sytuację, tym bardziej jeśli zgodzić się z opiniami liderów opozycji, że skończył się czas protestów pokojowych i po kolejnym wybuchu trzeba będzie być może bić się o wolność z bronią w rękę

na Ukrainie, po oczekiwanej ofensywie, może rosnać zainteresowanie Mińska, by Białoruś była objęta porozumieniem kończącym wojnę, o którym wiadomo, że musi regulować sytuację bezpieczeństwa w regionie.

Pod adresem Amerykanów emisariusze oficjalnych władz Mińska również wysyłają czytelne sygnały. Jewgienij Preygerman, kierujący Mińskim Dialogiem, think tankiem uznawanym za jeden z kanałów komunikacji białoruskiego MSZ z Zachodem, opublikował niedawno w jednym z amerykańskich portali artykuł, w którym stawia tezę, że rosyjski sektor wojskowy jest uzależniony od dostaw niektórych komponentów z Białorusi. Łukaszenka

umiejętnie to wykorzystał, uzyskując w zamian korzystne warunki wymiany handlowej między oboma krajami, co potwierdza pierwsze od lat dodatnie saldo. Ale – jak argumentuje Preygerman – reżim w Mińsku poszedł na pogłębienie współpracy z Rosją, bo nie miał innej opcji w obliczu sankcji i izolacji. A zatem jeśli by Zachód zrewidował swoją dotychczasową politykę wobec Mińska, to tego rodzaju gest zostałby nie tylko dobrze przyjęty, lecz także w ramach wzajemności – choć Preygerman nie pisze tego wprost – dostawy komponentów kluczowych dla rosyjskiego sektora przemysłowego mogłyby zostać zakłócone. Jeszcze ciekawsze jest to, gdzie białoruski analityk opublikował swoje wystąpienie. Otóż znalazło się ono na oficjalnej stronie The Jamestown Foundation. To powołany do życia jeszcze za czasów Ronalda Reagana think tank strategiczny naszpikowany oficerami amerykańskiej armii i służb specjalnych. Jeśli chodzi o Rosję prezentuje on twarde, nieustępliwe stanowisko, ale w kwestii polityki wobec Białorusi nastawienie The Jamestown Foundation jest zupełnie inne. W wielu opublikowanych artykułach i raportach jest formułowana teza, sprowadzająca się do twierdzenia, iż należy postawić na Łukaszenkę po to, by wzmacniając skłonność reżimu do niezależności, separować Mińsk od Moskwy. Podobną tezę stawia w gruncie rzeczy Preygerman, dowodząc, że obecne zbliżenie Białorusi z Rosją jest wynikiem sankcji nałożonych na Łukaszenkę po 2020 r., co nie pozostawiło dyktatorowi innej drogi niż postawienie na Moskwę, bo alternatywą było pogarszanie się sytuacji gospodarczej i groźba kolejnego wybuchu społecznego.

Jak widać, wszyscy przygotowują się do momentu przełomowego, którym może się stać zarówno śmierć dyktatora, jego odejście od władzy, jak i zakończenie wojny na Ukrainie. Różne scenariusze mogą wchodzić w grę, zwycięstwo sił demokratycznych nie jest przesądzone, podobnie jak „pogłębienie współpracy” z Rosją. Jedno jest pewne – sytuacja zmierza w stronę przesilenia i ostra faza kryzysu politycznego na Białorusi jest tylko kwestią czasu.

W co gra Meloni

Premier Włoch Giorgia Meloni deklaruje, że podziela wizję Europy polskiej prawicy. Jej rząd podlega jednak znacznym ograniczeniom i jak dotąd stara się nie zadzierać z europejskim mainstreamem



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Włosi stale oscylują między pragnieniem modernizacji, nigdy do końca niedokonanej, a pragmatyczną obroną tego, co już istniejące. Włoskie rządy opierają się na wciąż kontestowanych sojuszach między korporacjami, terytoriami, grupami wpływu gospodarczego i politycznego. Z tego powodu Włochy nie są krajem, w którym dochodzi do radykalnych rewolucji – tak naszych partnerów w Unii Europejskiej scharakteryzował Lorenzo Castellani na łamach pisma „Le Grand Continent”. Może nie rewolucję, ale co najmniej zmianę obiecywała Włochom nowa premier Giorgia Meloni, liderka ugrupowania Bracia Włosi (Fratelli d’Italia),



Fot. fot. Krystian Maj/PPRM

stojącej na czele prawicowej koalicji, w której skład wchodzi jeszcze Forza Italia byłego premiera Silvio Berlusconi oraz Liga Północna (Lega Nord) Matteo Salvini. Zwycięstwo wyborcze włoskiej prawicy minionej jesieni, choć zapowiadane w sondażach, wywołało ogromne poruszenie, szczególnie wśród lewicowo-liberalnych europejskich elit. W Polsce zaś zrodziło nadzieję, że władze w Rzymie staną się naszym sojusznikiem w walce z hegemonicznymi zapędami Niemiec oraz dążeniem do federalizacji i uniformizacji (przede wszystkim światopoglądowej) UE. Od zaprzysiężenia Meloni minęło już pół roku. I stało się jasne, że jest ona bardziej pragmatyczna niż radykalna.

BÓG, OJCZYŻNA I RODZINA

Przypomnijmy: w swoim exposé, wygłoszonym w październiku 2022 r., mówiła, że głos Włoch będzie słyszalny w Europie, a jej kraj będzie wspierał Ukrainę i nie podda się szantażowi energetycznemu Władimira Putina. Apelowwała także o bardziej skuteczną integrację europejską, o którą upominał się w przeszłości wielokrotnie jej poprzednik – Mario Draghi, szef rządu technicznego w latach 2021–2022. Exposé było o wiele łagodniejsze niż wystąpienia z kampanii wyborczej Meloni, gdy jasno opowiadała się prze-

ciwko „ideologii gender, przemocy islamu, masowej imigracji oraz międzynarodowej finansjery”. „Tak dla rodziny, nie dla lobby LGBT+!” – krzyczała i podkreślała potrzebę zrównoważenia dominacji Niemiec i Francji. Krytykowała także euro. Jako priorytety wyliczyła wtedy: Boga, ojczyznę i rodzinę.

Z postulatów światopoglądowych włoska premier wiele zrealizowała – w marcu Senat opowiedział się przeciwko wdrożeniu rozporządzenia Komisji Europejskiej w sprawie transgranicznego uznawania rodziców tej samej płci. Wprowadzono także zakaz korzystania z macicy do wynajęcia (surogacji) za granicą. Nie da się ukryć, że Meloni jest przywiązana do chrześcijańskiego dziedzictwa Europy i dostrzega wady Unii Europejskiej podobnie jak polska prawica. Nie oznacza to jednak, że jest gotowa wyrzucić obecny liberalno-lewicowy porządek w Europie do góry nogami.

Meloni to bowiem nadzieja Włochów na polityczną stabilizację. Żaden z tamtejszych rządów ostatnich 30 lat nie przetrwał dłużej niż 20 miesięcy. Ona tymczasem marzy o reformie konstytucyjnej i wprowadzeniu we Włoszech systemu prezydenckiego, a raczej półprezydenckiego na wzór Francji. „Presidenzialismo” to było jedno z kluczowych haseł jej kampanii. Wybierany w wyborach powszechnych prezydent mógłby dymisjonować

ministrów i rozwiązywać parlament. Taki swoisty sojusz z ludem nad głową establishmentu. Głównym celem włoskiej premier jest więc legitymizacja. Wewnątrz i na zewnątrz. Umocnienie własnej pozycji wobec partnerów koalicyjnych, z których jeden chodził w koszulce z podobizną Władimira Putina, a drugi zbłądził się organizowaniem słynnych imprez „bunga-bunga”. Po aneksji Krymu (była wtedy w opozycji), co wytykają jej wrogowie, sprzeciwiała się sankcjom wobec Rosji. Ale to było dawno temu, a ponieważ Meloni chce być postrzegana jako polityk pragmatyczna, rozsądna i godna zaufania, musiała tę postawę porzucić.

Mimo radykalnej retoryki, np. w sprawach migracji, gabinet Meloni wystrzega się inicjatyw, które mogłyby wywołać spory z UE o praworządność. Rzym nie blokuje statków ratujących migrantów należących do zagranicznych NGO'sów w portach ani nie zakazuje im do nich dostępu, jak robił to Salvini, gdy był szefem MSW. Zamiast tego stawia na negocjacje z krajami pochodzenia migrantów: powstrzymanie nielegalnej migracji w zamian za pomoc rozwojową. Rzym także dalej przejeżdża do relokacji migrantów przybywających z Afryki, a jest to, coś czemu Polska się zdecydowanie sprzeciwia.

„Meloni chciała pozbyć się etykiety neofaszystki, którą jej przyklejono. Od razu podjęła starania, by uspokoić swoich sojuszników – przede wszystkim USA i NATO. Potwierdziła zaangażowanie Włoch w UE” – podkreśliła Cecilia Sottillotta, politolog z Uniwersytetu w Perugii w rozmowie z portalem Euronews.

WSPÓLNY DOM

Meloni starała się obsadzić kluczowe ministerstwa ekspertami, z których część pochodzi z gabinetu Draghi. Powołanie Antonio Tajaniego (Forza Italia) na stanowisko ministra spraw zagranicznych było wyraźnym sygnałem, że Rzym dąży do porozumienia z Unią. Forza Italia wchodzi w skład Europejskiej Partii Ludowej, a Tajani jest byłym przewodniczącym Parlamentu Europejskiego i *de facto* lide-

rem swojej partii, bo Berlusconi jest już w zasadzie na politycznej emeryturze. Meloni w pierwszą podróż zagraniczną udała się do Brukseli, gdzie zapewniała przewodniczącą Komisji Europejskiej Ursulę von der Leyen o gotowości do współpracy. Zdaje sobie sprawę z ograniczeń Włoch, takich jak ogromny dług publiczny, wynoszący ok. 150 proc. PKB. Żeby nadal mieć dostęp do pieniędzy z unijnego funduszu odbudowy w wysokości ok. 209 mld euro (wyplacanego w transzach), jej rząd w dużej mierze kontynuuje reformy zainicjowane przez Draghi, choćby reformę podatkową. Meloni uznała włoski Krajowy Plan Odbudowy (KPO) w swoim exposé za „nadzwyczajną szansę zmodernizowania Włoch”, a UE za „wspólny dom europejskich narodów”. Włosi mają jednocześnie duże trudności z wydatkowaniem już otrzymanych od Brukseli pieniędzy ze względu na przerost biurokracji i niedociągnięcia administracyjne. Część pieniędzy ma zostać przekierowana do sektora energetycznego.

Na umiarkowany kurs Włoch wobec UE naciska zresztą nie tylko partner koalicyjny Braci Włochów, czyli Forza Italia, lecz także prezydent Sergio Mattarella. Obietnicę wspierania działań rządu pod warunkiem utrzymania umiarkowanego kursu złożył także Draghi. Istotnym sojusznikiem Włoch w kwestiach unijnego budżetu jest też wywodzący się z włoskiej lewicy komisarz UE ds. gospodarki Paolo Gentiloni.

Meloni wprawdzie zerwała z polityką Draghi dotyczącą bliskiej symbiozy z Francją i Niemcami, czyli płynięciem w głównym unijnym nurcie, ale hołduje zasadzie zawierania doraźnych sojuszy z tymi państwami choćby w kwestii migracji czy energetyki. Rzym marzy m.in. o tym, by zostać hubem gazowym dla Europy. Celem Meloni jest więc w pierwszej linii poprawa sytuacji gospodarczej i finansowej Włoch oraz utrwalenie swojej władzy.

JEDEN KIERUNEK?

Gdy Meloni gościła w lutym br. w Polsce, mówiła, że Polska i Włochy mają podobne wizje tego, jak powinna wy-

glądać Unia Europejska. Dodała, że oba kraje pracują na rzecz Europy, w której będzie obowiązywała zasada pomocniczości, „żeby Bruksela robiła to, czego Warszawa i Rzym nie mogą robić same, ale ich nie zastępowała”. Premier Mateusz Morawiecki zaś podkreślił wartości łączące oba kraje: demokratyczne, chrześcijańskie, oraz wspólną wizję „Europy silnych państw, Europy ojczyzn, a nie jakieś utopijne wizje federalistyczne czy *de facto* centralistyczne”.

Można powiedzieć, że pod tym względem Warszawa się trochę rozczarowała, bowiem Włochy dołączyły na początku maja br. do koalicji dziewięciu państw pod wodzą Niemiec domagających się reformy systemu głosowania w Radzie UE. „Grupa przyjaciół głosowania większością kwalifikowaną”, składająca się z Belgii, Finlandii, Francji, Niemiec, Włoch, Luksemburga, Holandii, Słowenii i Hiszpanii, chce zniesienia prawa weta w dziedzinie polityki zagranicznej i bezpieczeństwa oraz podatków. Polska jest temu zdecydowanie przeciwna podobnie jak większość mniejszych państw, które obawiają się utrwaleń dyktatu większych i silniejszych. Trudno tu więc mówić o realizacji wspólnej wizji Warszawy i Rzymu. Jak to się stało, że Włochy znalazły się w tej grupie i wsparły inicjatywę federalizacyjną Berlina? Nie jest to do końca jasne. Może Meloni poszła na rękę partnerowi koalicyjnemu, czyli Tajanemu, może doszło do jakiegoś handlu wymiennego z Berlinem. Niektórzy eksperci twierdzą, że rząd Meloni podlega tak znacznym ograniczeniom, że może podążać tylko w jednym, konwencjonalnym kierunku. Jest zależny od dobrej woli Brukseli i wewnętrznie podzielony.

Nie oznacza to, że potencjału dla silnego polsko-włoskiego sojuszu nie ma. Jest i należy być wdzięcznym za antyrosyjski kurs władz nad Tybrem. Jednocześnie nie należy oczekiwać, że Włochy, których gospodarka w przeciwieństwie do polskiej jest w stanie stagnacji i które są w o wiele większym stopniu zależne od unijnych środków, pójdą na otwartą konfrontację z europejskim mainstreamem. Na pewno nie teraz.

Nowy wspaniały świat według Harariego

Izraelski historyk jest dziś głównym ideologiem wielkiego resetu, przekonującym, że ludzkość posiada boską moc stwarzania i powinna z niej korzystać



GRZEGORZ GÓRNY

Izraelski historyk Yuval Noah Harari to jeden z najbardziej poczytnych pisarzy na świecie, sprzedający swoje książki w dziesiątkach milionów egzemplarzy. W odróżnieniu od innych autorów bestsellerów, takich jak Stephen King czy J.K. Rowling, jego prace nie mają za zadanie dostarczać rozrywki, lecz posiadają ambicje zmieniania świata. Co charakterystyczne, kierunek tych zmian pokrywa się z kierunkiem wytyczanym przez globalną oligarchię. Multimiliarderzy, tacy jak Bill Gates czy Mark Zuckerberg, nie ukrywają, że są zachwyceni wizją świata przedstawianą w dziełach Harariego. Szef Światowego Forum Ekonomicznego Klaus Schwab uczynił go nawet swoim doradcą, przez co izraelski historyk doczekał się w niektórych kręgach miana „Dana Browna wielkiego resetu”, choć bywa też nazywany głównym ideologiem i guru globalizmu.

W ŚWIECIE ZŁUDZEŃ

47-letni Harari urodził się w niereligijnej rodzinie żydowskiej. Studiował historię na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie, doktoryzował się w Oksfordzie, a później odbył studia doktoranckie jako stypendysta Fundacji Rothschildów. Jest zdeklarowanym



gejem pozostającym w związku z innym homoseksualistą. Ponieważ z partnerem nie mogli sformalizować swojej relacji w Izraelu, wzięli ślub w Kanadzie. Harari przedstawia się jako buddysta, oddający się technice medytacyjnej vipassana, która oznacza „wgląd”, czyli postrzeganie świata takiego, jakim jest w istocie.

W swoich książkach prezentuje się więc jako mędrzec, który posiadał wgląd w istotę świata i dzieli się z czytelnikami wiedzą o tym, jak wygląda prawda o człowieku, ludzkości, historii i przyszłości. Największą sławę przyniosły mu zwłaszcza dwie prace: „Sapiens. Od zwierząt do bogów” oraz „Homo deus. Krótka historia jutra”. Autor sta-

wia w nich tezę, że jako ludzie jesteśmy tylko zwierzętami, które niezbyt odróżniają się od innych istot człękkształtnych oraz pozostałych ssaków, jednak posiadają wyjątkową zdolność, jaką jest umiejętność współpracowania w dużych grupach. Spośród innych zwierząt wyróżnia nas to, że potrafimy wymyślać nieistniejące rzeczywistości, takie jak np. religia, naród, pieniądz. Wszystko to jest fikcją wynikającą z funkcjonowania w świecie złudzeń, a więc w czymś, co w języku buddyjskim nazywa się „maja”.



WOLNA WOLA JAKO MIT

Dla Harariego mitem jest także istnienie wolnej woli. W jednym z wywiadów z charakterystyczną dla niego pewnością siebie izraelski historyk ogłasza: „Wolna wola nie jest rzeczywistością naukową. To mit odziedziczony po teologii chrześcijańskiej. Teologowie

rozwinęli ideę wolnej woli, by wyjaśnić, dlaczego Bóg słusznie karze grzeszników za ich złe wybory i nagradza świętych za ich dobre wybory. Jeśli nasze wybory nie są dokonywane dobrowolnie, to dlaczego Bóg miałby nas za nie karać lub nagradzać?”

W rzeczywistości Harari myli się. To nie chrześcijaństwo wynalazło pojęcie wolnej woli oraz ideę kary za zło i nagrody za dobro. Są one znacznie starsze niż Nowy Testament. Odnaleźć je można choćby w dziełach Platona czy Arystotelesa. Są też obecne w religiach transcendentnych, filozofiach panteistycznych i systemach ateistycznych. Na nich opierał się i nadal opiera cały system prawny we wszystkich państwach wszystkich czasów. Inaczej nie byłoby sądów ani więzień.

Skoro nie ma wolnej woli, ponieważ nie da się jej dowieść metodami naukowymi, tak samo nie mają prawa istnieć piękno czy miłość. I rzeczywistość, zdaniem Harariego są to tylko produkty naszych uczuć, które pozostają „algorytmami biochemicznymi”, a tymi da się sterować dzięki odkryciom naukowym.

PROROK TRANSHUMANIZMU

Według izraelskiego historyka nauka otwiera dziś przed ludzkością nowe możliwości, dając do ręki człowiekowi niemal boskie moce, łącznie z powoływaniem do życia nowych istot, np. w postaci hybryd ludzko-cyfrowych. Ma się to dokonać dzięki zastosowaniu innowacji z takich dziedzin jak m.in. nanotechnologia molekularna czy neurofarmaceutyka. W tej wizji, zwanej transhumanistyczną, owe istoty miałyby przypominać cyborgi dysponujące np. interfejsami mózg-komputer lub wielofunkcyjnymi protezami. Dzięki genetycznemu projektowaniu ciała i sztucznej inteligencji ludzkość posiada jednak szansę osiągnięcia nieśmiertelności i doczesnej szczęśliwości. W tej perspektywie człowiek, który do tej pory sam podlegał ewolucji, może od tej pory zacząć kierować tym procesem ewolucji. Może być twórcą swojej własnej natury oraz jej praw.

Na tym zdaniem Harariego polega wyższość jego koncepcji nad chrześci-

jaństwem czy ideologiami takimi jak np. komunizm. Nauka Chrystusa obiecuje bowiem osiągnięcie stanu doskonałości dopiero po śmierci – w raju. Komunizm z kolei odsuwa moment stworzenia idealnego społeczeństwa w bliżej nieokreślonej przyszłości. Izraelski historyk mówi zaś, że stworzenie nowego człowieka może dokonać się tu i teraz – dzięki przekroczeniu barier, które do tej pory stawiała biologia. Innymi słowy: obiecuje budowę raju na ziemi.

W 2020 r. podczas Światowego Forum Ekonomicznego w Davos Harari mówił: „W nadchodzących dziesięcioleciach sztuczna inteligencja i biotechnologia dadzą nam boskie moce przeprojektowywania życia, a nawet tworzenia zupełnie nowych form życia. Po 4 mld lat kształtowania życia organicznego przez dobór naturalny wkraczamy w nową erę życia nieorganicznego, kształtowanego przez inteligentny projekt. Nasz inteligentny projekt stanie się nową siłą napędową ewolucji życia, a korzystając z naszych nowych boskich mocy stwarzania, możemy popełniać błędy na kosmiczną skalę”.

LUDZIE ZBĘDNI

Harari zachowuje się tak, jakby znalazł uniwersalny klucz do zrozumienia i interpretowania całej rzeczywistości. To daje mu prawo do projektowania przyszłości, w której centralną rolę odgrywa fenomen ukrywający się za akronimem NBIC. Chodzi o syntezę nanotechnologii, biotechnologii, informatyki i kogniwytyki. Dzięki zdobyciom tych nauk możliwe stanie się połączenie ludzi z maszynami oraz stworzenie inteligentnych istot postludzkich. Dzięki temu wyeliminowane zostaną choroby i śmierć. Harari poucza: „My, ludzie, powinniśmy przyzwyczaić się do tego, że nie jesteśmy już tajemniczymi duszami – jesteśmy teraz zwierzętami, które można hakować. Tym właśnie jesteśmy”. Za nieśmiertelność trzeba będzie jednak zapłacić cenę. W nowej rzeczywistości nieistotne staną się takie pojęcia, jak mężczyzna, kobieta, miłość, nienawiść i wiele innych.

Te wszystkie zmiany, które wieszczy Harari, będą miały także swoje

konsekwencje społeczne. Robotyzacja i sztuczna inteligencja zastąpią pracę człowieka i sprawią, że większość ludzi stanie się bezużyteczna. Zatrudnienie znajdzie jedynie wysoce wyspecjalizowana klasa techniczna. Reszta zasili grono ludzi zbędnych, którzy sfrustrowani tym, że są niepotrzebni, mogą stać się siłą rewolucyjną. Dlatego najlepszym sposobem na spacyfikowanie ich nastrojów będzie danie im możliwości korzystania z rozbudowanego systemu rozdawnictwa. W dłuższej perspektywie z kolei będzie konieczne ograniczenie liczby ludności na naszej planecie, ponieważ – jak mówi izraelski historyk – „po prostu nie potrzebujemy zdecydowanej większości populacji”.

ROSYJSKIE PIENIĄDZE NIE ŚMIERDZĄ

Według Harariego miejscami, w których wykuwa się obecnie przyszłość świata, są wydziały gender na wyższych uczelniach. To, co tam się dzieje, może pomóc nam zrozumieć rewolucję, która nastąpi w najbliższych dekadach. Transpłciowość jest bowiem zapowiedzią transhumanizmu. Płynna tożsamość zakłada, iż jesteśmy w stanie „samokonstruować” siebie tak, jak tylko tego zechcemy. Dziś człowiek wyzwala się z ograniczeń własnej płci, by jutro wyzwolić się z ograniczeń własnej istotowości gatunkowej. W obu przypadkach mamy do czynienia z antropologią nieograniczoną, czyli przekonaniem, że człowiek nie jest ograniczony ani prawdą obiektywną, ani wartościami uniwersalnymi, ani prawem naturalnym – jest zatem wszechmocny.

Nic zatem dziwnego, iż Harari ubolewał, że na uniwersytetach w Rosji studia gender są zakazane, a samego Putina krytykował jako dyktatora. W tym kontekście niezwykle ciekawie brzmi wiadomość, że kiedy wydawał w Moskwie książkę „21 lekcji na XXI wiek”, wyraził zgodę na ingerencje rosyjskiej cenzury w swój tekst. W oryginalnej wersji w rozdziale „Postprawda” jako przykład zakłamaney narracji opisywał opowieści kremlowskiej propagandy o inwazji

na Ukrainę i okupacji Krymu, co usunął w wydaniu rosyjskim, zamieniając Putina na Trumpa. W anglojęzycznym wydaniu na krawędzi dyktatury miała znaleźć się Rosja, która w moskiewskiej edycji została podmieniona na Węgry. Ukraiński publicysta Witalij Portnikow skwitował postawę globalnego autorytetu moralnego stwierdzeniem, że dzięki umowie Harariego z Rosjanami możemy wyciągnąć 22. lekcję na XXI w., która mówi, że rosyjskie pieniądze nie śmierdzą.

Według izraelskiego historyka nauka otwiera dziś przed ludzkością nowe możliwości, dając do ręki człowiekowi niemal boskie moce, łącznie z powoływaniem do życia nowych istot, np. w postaci hybryd ludzko-cyfrowych

NOWY RAJ LUB NOWE PIEKŁO

Autor „Homo deus” dostrzega też jednak zagrożenia związane z rozwojem technologicznym. Jak mówił w Davos: „Jeśli wystarczająco dobrze znasz biologię i masz odpowiednią moc obliczeniową i dane, możesz zhakować moje ciało, mózg i życie, a także zrozumieć mnie lepiej niż ja sam. Możesz poznać mój typ osobowości, moje poglądy polityczne, moje preferencje seksualne, moje słabości umysłowe, moje najgłębsze lęki i nadzieje. Poznasz mnie lepiej niż ja sam. I możesz to zrobić nie tylko ze mną, ale z każdym. System, który rozumie nas lepiej niż my sami, może przewidywać nasze uczucia i decyzje, może nimi manipulować, a ostatecznie może podejmować decyzje za nas”.

Zdaniem Harariego istnieje więc niebezpieczeństwo powstania cyfrowych dyktatur, które mogą stworzyć

najgorszy reżim totalitarny w historii ludzkości. Mimo to uważa, że ludzkość nie może cofnąć się w swoim rozwoju i jest skazana na świat, w którym decyzje będą podejmować za nas algorytmy. Jak mówi: „Bliźniacze rewolucje w informatologii i biotechnologii dają obecnie politykom środki na stworzenie raju bądź piekła, ale filozofowie mają problem z konceptualizacją tego, jak będą wyglądać nowy raj i nowe piekło. I jest to sytuacja bardzo niebezpieczna. Jeśli nie zdołamy wystarczająco szybko

wyobrazić sobie nowego raju, możemy łatwo zostać wprowadzeni w błąd przez naiwne utopie. A jeśli nie uda nam się wystarczająco szybko wyobrazić sobie nowego piekła, możemy zostać w nim uwięzieni bez wyjścia”.

Odpowiadając na tak postawione wyzwanie, Harari tworzy więc własną koncepcję nowego raju. Nie zauważa jednak przy tym, jak cienka granica jest między tymi, którzy projektują raj na ziemi, a tymi, którzy chcą nam zgotować piekło. To stara gnostycka pokusa, w której pobrzmiewa dalekie echo słów z Księgi Rodzaju: „Będziecie jak bogowie”. Izraelski historyk mówi wprost, że w jego wizji człowiek ma osiąść boskie prerogatywy. Oczywiście nie każdy człowiek. Na pewno nie ludzie zbędni. Nieśmiertelność i doczesna szczęśliwość – jak wyobraża ją sobie Harari – nie mogą być dostępne dla wszystkich, lecz tylko dla tych, którzy będą mieli dostęp do technologii i pieniędzy.

Ta wizja trafia szczególnie do przekonania miliardom, np. z branży Big Tech, którzy nie wierzą w Boga, ale potrzebują jakiegoś surogatu religii i czepiają się oferowanej im nadziei na życie wieczne. Nic dziwnego, że wielu właścicieli i dyrektorów z Doliny Krzemowej jest fanami Harariego i entuzjastami transhumanizmu. Finansują oni badania, których celem jest stworzenie wspomnianych istot postludzkich. Historia uczy jednak, że nie da się bezkarnie gwałcić natury i wcześniej czy później zemści się ona na inżynierach społecznych projektujących kolejny nowy wspaniały świat. 

Obserwując alianse na salonach europejskiej lewicy, można wywnioskować, że dawne wezwanie z Manifestu komunistycznego: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!”, niepostrzeżenie zmieniło się w hasło: „Progresiści wszystkich krajów, łączcie się!”

Sojusznicy prezydenta polskiej stolicy



MAŁGORZATA WOŁCZYK

Tym razem jednak bratanie się sił postępu następuje pod flagą unijną, czasem też tęczą, choć zdarzają się wciąż spotkania pod flagą z sierpem i młotem, co ma miejsce zwłaszcza w Hiszpanii, rządzonej przez koalicję socjalistów z komunistami. Progresistowskie liderzy europejscy, w tym prezydenci wielkich miast, na-

uczylili się też obowiązkowej nowomowy, bo – jak się okazało – znów żyjemy w „określonej epoce”, choć niestety brak nam nowego Barańczaka, który umiałby opisać współczesny fenomen w jakimś przewrotnym wierszu.

Rafał Trzaskowski jako prezydent Warszawy, a także przewodniczący Komisji Środowiska, Zmian Klimatu i Energii w Europejskim Komitecie Regionów, włada nowomową w sposób wyborny, z wprawą zonglując frazami, którymi na codzień przemawia też najbardziej skrajna lewica europejska, zatroskana o „populistyczny nacjonalizm” „ubóstwo energetyczne mas” czy „sprawiedliwą transformację dla wszystkich”.

LEWICA NAGRADZA SWOICH

Nie dziwi więc zupełnie, że stachanowską pracę Trzaskowskiego na rzecz nowego, lepszego świata w ponoć konserwatywnie zapyziałej Polsce, doceniają lewicowe gremia Europy. Oto dowiadujemy się, że w końcówce maja Trzaskowski odbierze wyróżnienie The European Construction Award of the Economic Circle w Barcelonie. Gdy sięgnąć po oryginalne tłumaczenie z ojczyzny kapituły tej nagrody, czyli Katalonii, wylania się nazwa już brzmiąca bardziej swojsko: Europejska Nagroda dla Integracji od Koła Ekonomistów. Chodzi bowiem o instytucję założoną w 1958 r.

przez frankistowskich przedsiębiorców o nazwie Cercle d'Economia, która w demokracji przedzierzgnęła się nagle w proeuropejskie i liberalno-lewicowe stowarzyszenie elit gospodarczych i politycznych Katalonii. Przed prezydentem Warszawy nagrodę zdążyli już odebrać Mario Draghi i Ursula von der Leyen.

Jak dowiadujemy się z oficjalnego przekazu: „Kapituła postanowiła uhonorować prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego za zaangażowanie w integrację europejską, prowadzoną przez niego politykę na rzecz przyjmowania uchodźców, wspieranie praw mniejszości i obronę praworządności w Polsce. [...] Urodzony w 1972 r. Rafał Trzaskowski jest aktywnym polskim politykiem, który w ostatnich latach wyróżnił się w obronie europejskich wartości i praworządności w wyjątkowo złożonym kontekście politycznym i instytucjonalnym. Trzaskowski jako prezydent Warszawy wielokrotnie potwierdził swoją europejskość. Już w 2019 r. wraz ze swoimi odpowiednikami z miast Grupy Wyszehradzkiej (Pragi, Budapesztu i Bratysławy) podpisał manifest potępiający ksenofobiczny nacjonalizm ich rządów i opowiadający się za »paktem wolnych miast«. Wraz z wojną na Ukrainie i exodusem ludności spowodowanym inwazją rosyjską Trzaskowski okazał się zwolennikiem przyjmowania uchodźców i wspierania polityki prowadzonej przez UE”.

Wygląda więc na to, jakby Trzaskowski skłonił lub zobowiązał miasto i mieszkańców, by zachowali się według wskazań unijnej polityki migracyjnej, a bez niego nie zaistniałby żaden zbiorowy zryw i odruch serca milionów Polaków, wspierany od początku przez aktywną postawę rządu. My, warszawiacy, którzy jak niżej podpisana pojechaliśmy nad granicę, by przywieźć do domu kobiety z dziećmi – nie oglądaliśmy się wcale na to, co miał nam do powiedzenia Rafał Kazimierz Trzaskowski z za biurka w warszawskim ratuszu. Sprawą oczywistą jest też to, że stolica kraju musiała poddać nowemu wyzwaniu, tak samo jak zrobiły to Przemyśl, Radom czy inne miasta. Nagradzanie Trzaskowskiego za jakoby wybitne zasługi w otwarciu się na falę uchodźców jest nadużyciem, a gratyfikacja spływa na niego przede wszystkim za dwie inne wspomniane

zasługi, a więc aktywną walkę z konserwatywnym rządem i wspieranie praw kolektywu LGBT+. Z całą pewnością, gdy Trzaskowski będzie odbierał nagrodę w zapowiadanej uroczystości trwającej od 29 do 31 maja w Barcelonie, nie omieszka wspomnieć o swojej krucjacie w obronie europejskich wartości, czyli mówiąc prawdę – o działaniach na rzecz narzucania lewicowej agendy na podobieństwo zachodnich miast przeobrażonych w enklawy progresywizmu.

BARCELONA – MIASTO PRZEMOCY

Jest niezwykle wymowne, że Trzaskowski otrzyma nagrodę z rąk katalońskiej elity w mieście przeżywającym schyłek za sprawą rządzącej burmistrz Ady Colau ze skrajnie lewicowej partii Comú. To ważne wiedzieć, do jakich wzorców aspiruje prezydent Warszawy i z kim rozwija partnerskie więzi w ramach C40 Cities. To Ada Colau, znienawidzona przez sporą część Hiszpanów za fatalną politykę, nieskrywany antysemityzm, jest europejską wiceprzewodniczącą Rady Dyrektorów C40 Cities – sieci zrzeszającej główne miasta na świecie zaangażowane w walkę z kryzysem klimatycznym. Kto z Polaków podróżował do Barcelony regularnie przez ostatnią dekadę, podpisze się pod słowami Santiago Abascale, lidera partii Vox (sojusznika PiS w EKR), który kilka dni temu na wiecu w Barcelonie powiedział: „Ada Colau zrujnowała miasto i uplasowała je na szczycie najbardziej niebezpiecznych. Stworzyła miasto, w którym właściciele mieszkań mają mniej praw niż ci, którzy okupują je nielegalnie. Miasto, w którym mieszkańcy Barcelony mają mniej praw niż nielegalni imigranci i przestępcy, uniemożliwiający turystom spokojny odpoczynek. Ci komunistyczni obłąkańcy chcieli uwolnić Barcelonę od turystów, jakby turystyka była jakąś karą, a okazało się, że – owszem – uwolnili Barcelonę od turystów, ale tylko po to, by oddać ją w ręce przestępców z nożami, mafii okupas i hołoty od zbiorowych gwałtów”.

Oczywiście w głowie przeciętnego i często zakompleksionego Polaka Barcelona wciąż kojarzy się z pięknym wybrzeżem, dziełami Gaudiego, luksusem i klubem piłkarskim zasilonym naszym

najlepszym napastnikiem. Zresztą sam Lewandowski w pamiętnym pościgu za kibicem z Barcelony, który ukradł mu patka wartego 70 tys. euro, może zacząć przemawiać do wyobraźni jako dobitny przykład powszechnej w mieście przestępczości. Tym samym Lewandowski dołączył do długiej listy światowych gwiazd sportu okradzionych w ostatnim czasie w Barcelonie, począwszy od pierwszego pilota Formuły 1 Sebastiana Vettela przez najbardziej znanych piłkarzy, po tenisistę Grigora Dimitrova, okradzonego miesiąc temu.

Jeśli więc Trzaskowski i ludzie Platformy chcą nas zbliżyć do „wartości europejskich”, są winni Polakom całą prawdę. Prawda jest zaś widoczna gołym okiem dla każdego, kto bywa w Barcelonie, porównywanej już do francuskiej Marsylii czy belgijskiego Molenbeek. Fakt otwarcia się na imigrację z państw Maghrebu nie czyni Europę bardziej multikulturalną, ale paradoksalnie powoduje powstanie nowego Maghrebu w Barcelonie, Marsylii czy Paryżu. Integracja z Europą na zasadach proponowanych przez lewicę oznacza wzrost prześladowań dla osób LGBT+ i przemoc wobec kobiet ze strony imigrantów z krajów muzułmańskich. Nieważne, ile razy lewica wypnie pierś, uważając się za obrońcę praw człowieka, matematyka udowadnia, że tam, gdzie rządzi lewica, najszybciej są tłamszone swobody obywatelskie i podstawowe prawa.

Przeprowadzona w 2022 r. ankieta na 20 tys. mieszkańcach Barcelony powinna być zimnym prysznicem dla władz miasta, skoro 82 proc. ankietowanych uznało miasto za niebezpieczne, a 49 proc. za bardzo brudne. Ale to ledwie impresje przy twardych danych z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, które ogłosiło, że liczba kradzieży w Barcelonie wzrosła o prawie 70 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim, rozbojów z użyciem przemocy i zastraszania o ponad 40 proc., zamieszek ulicznych zaś o 69 proc. Krótka mówiąc, wzrost przestępczości w Barcelonie wynosi ok. 40 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim. Porównajmy to z rosnącym poczuciem bezpieczeństwa wśród Polaków mimo masowego napływu Ukraińców, którzy w przeciwieństwie do „nachodźców” szanują nasze prawa, bo po prostu wywodzą się z tego

samego kręgu kulturowego. Tymczasem za sprawą polityki otwartych drzwi dla imigrantów w Katalonii objawił się nieznanym wcześniej fenomen „kultury maczety” (lub noża), nie wspominając o danych na temat przemocy seksualnej, w której przoduje ten region.

KATALONIA – ULUBIONY KIERUNEK MUŻULMANÓW

Wskutek jawnej chrystofobii obecnych katalońskich władz i promowania napływu imigrantów z tzw. religii pokoju, w Katalonii jest ponad 280 ośrodków modlitewnych (oratoriów), w tym trzy duże meczety. W Katalonii mieszka ponad 2 mln muzułmanów, czyli ponad 80 proc. wszystkich muzułmanów w Hiszpanii. Władze regionu mają świadomość, że ogromna większość społeczności muzułmańskiej to salafici, czyli muzułmanie, którzy promują radykalne idee islamu. Wszyscy pamiętamy zamach islamski na La Rambla w Barcelonie w 2017 r., gdy wskutek okrutnej szarży furgonetki zginęło 16 osób. To wszystko jednak zdaje się nie mieć wpływu na zdolność wyciągania wniosków przez władarzy Barcelony. Uwielbiają oni bowiem wszelkie akty prowokacji wobec katolików i dlatego w przedsięwziętym okresie często wybuchają skandale związane z obrazą uczuć katolików.

Ciekawe, jak zareagowałby prezydent Trzaskowski, gdyby powtórzyła się sytuacja znana z innego wręczenia nagród w ratuszu Barcelony. W 2016 r. poetka Dolors Miquel recytowała w obecności prezydenta Colau bluźnierczą wersję „Ojczyzny” z fragmentami typu: „Niech będzie uświęcona twoja cipka”, „Bądź wola twoja w mojej macicy” itd. I tylko członkowie prawicowej partii opuścili salę ratusza w geście sprzeciwu. Niemal co roku katolicy oczekują z trwogą kolejnej szopki miejskiej, która już przybierała postać kupy śmieci w kartonowych pudełkach lub instalacji z trzema krzesłami symbolizującymi Świętą Rodzinę. Takie są również przejawy europejskich wartości, do których praktykowania chce nas zmusić UE i jej wierni wysłannicy w ratuszu warszawskim.

GŁĘBSZA INTEGRACJA W DRODZE DO UTOPII

Nawoływania do niekończącej się głębszej integracji z UE – do czego namawia Trzaskowski i za co zostanie nagrodzony w Barcelonie – oznacza dla Polski bezwzględną akceptację założeń głównego nurtu, a więc lewicowej tyranii, która skolonizowała UE (przynajmniej do czasu nowych wyborów). Notoryczne i celowe mylenie eurosceptycyzmu ze sceptycyzmem wobec radykalnych rozwiązań technokratów unijnych jest celowym zagranem opozycji. Trzaskowski, zwłaszcza od kiedy został nowym przewodniczą-

My, obywatele Warszawy, naprawdę nie potrzebujemy powtórki eksperymentów z dekadentycznej Barcelony, rozdartej fanatyzmem klimatycznym, obsesją separatyzmu i chrystofobią. „Progresiści wszystkich krajów, łączcie się”, ale bez nas

cym Komisji Środowiska, Zmian Klimatu i Energii w Europejskim Komitecie Regionów, poczuwa się do misji osiągnięcia neutralności klimatycznej w ramach C40 Cities. W lutym na twitterowym profilu C40 pojawił się wpis zapowiadający start programu pilotażowego, w którym udział wezmą Barcelona, Mediolan i Warszawa. My, warszawiacy, wprost uwielbiamy totalitarne eksperymenty, tak mało ich przeszliśmy na własnej skórze, że do prawdy jeden mniej lub więcej – jak widać – nie zawadzi. Co ciekawe, Mediolan jest w rękach prezydenta Giuseppe Sala z lewicowej Europa Verde (Zielonej Europy), Barcelona w rękach wspomnianej Ady Colau z lewackiej Comú, więc pogratulować partnerów strategicznych.

Na stronach urzędu miasta Warszawy znajdujemy pochwały wobec projektu

miasta 15-minutowego, a zachwalana idea jest wspierana przykładem Barcelony. Celem jest jakoby poprawa jakości życia obywateli dzięki temu, że wszystkie usługi publiczne i prywatne znajdą się w odległości kilku minut spacerem lub rowerem od miejsca zamieszkania. Nikt nie wspomina jednak, że wielką obawą Hiszpanów jest wizja zamykania ludzi w gettach, tym bardziej że przedsmak mieli w czasie pandemii, gdy Hiszpania rządzona przez lewicę egzekwowała najbardziej radykalny lockdown.

Autor projektu 15-minutowych miast, prof. Carlos Moreno, sam przyznał, że otrzymywał obelgi i groźby śmierci podczas ostatniego pobytu w Hiszpanii. Media polskiego mainstreamu jakoś nie wspominają, że tenże projektant lepszej przyszłości w wieku 20 lat uciekł i schronił się we Francji, po tym jak przynależał do lewicowych, terrorystycznych oddziałów M-19 w Kolumbii. Jego projekt zrównoważonego rozwoju to chimera. Żadne miasto nie może być samowystarczalne energetycznie. Ekspert z barcelońskiej Área Metropolitana po przeprowadzeniu stosownych obliczeń doszedł do wniosku, że w przypadku przeznaczenia nawet 100 proc. budynków w stolicy Katalonii na fotowoltaikę gmina nadal musiałaby importować nieco ponad 90 proc. energii, którą zużywa codziennie. A przecież mowa o jednym z najbardziej nasłonecznionych miast Europy. Utopijna idea Moreno jest promowana nie tylko przez ratusz Warszawy, lecz także urbanistkę, architekta i aktywistkę Magdalenę Milert, która stawia m.in. Barcelonę za wzór i żali się, że polskim władzom brakuje stanowczości. I całe szczęście...

Z całą pewnością tego wzmożenia nie brakuje Trzaskowskiemu i jego partyjnym kolegom, którzy – jak widać – już stoją w blokach startowych, by wcielić i kopować pomysły lewicowego establishmentu. „Ciagnie swój do swego” – jak mawia mądrość ludowa. Tyle że my, obywatele Warszawy, naprawdę nie potrzebujemy powtórki eksperymentów z dekadentycznej Barcelony, rozdartej fanatyzmem klimatycznym, obsesją separatyzmu i chrystofobią. „Progresiści wszystkich krajów, łączcie się”, ale bez nas.



Trump idzie po Biały Dom

Donald Trump zdecydowanie może cytować Marka Twaina: „Pogłoski o mojej śmierci były przesadzone” albo kultową kwestię Schwarzeneggera z „Terminatora 3”: „I’m back”



DARIUSZ MATUSZAK

Mimo ponawianych przez demokratów i część republikanów prób przebicia Trumpa osinowym kołkiem ostatecznego złożenia do grobu, na półtora roku przed wyborami prezydenckimi to właśnie on wyrasta na największego faworyta do zwycięstwa. Jakby się żywił pozwami, oskarżeniami o wszystko i cokolwiek, pomówieniami, skandalami.

Już najazd FBI na rezydencję Trumpa w Mar-a-Lago w sierpniu 2022 r. w poszukiwaniu dokumentów wyniesionych z Białego Domu – przeglądano nawet szuflady z bielizną Melanii – przyniósł sygnały, iż część publiczności postrzega te działania jako chęć wyeliminowania go z wyścigu o prezydenturę. Wtedy pojawiło się teoria, że demokraci robią z niego męczennika, by to on – łatwy do pokona-

nia – został kandydatem republikanów w wyborach 2024 r. Niezależnie od interpretacji pojawiły się kolejne zarzuty i szyskany, głównie ze strony prokuratora stanu Nowy Jork Alvina Bragga, który zarzuca Trumpowi machinacje finansowe w czasie kampanii 2016 r. Podobno/jakoby/na pewno Trump miał romans cielesny z pokazującą się w filmach porno Stormy Daniels i zapłacił jej za milczenie. Ponieważ stało się to w czasie oficjalnej kampanii wyborczej, to według prokuratora powinien to zrobić z pieniędzy na kampanię, a nie prywatnie przez prawnika.

Wróciła też sprawa napaści seksualnej, której miał się dopuścić w 1996 r. w przymierzalni domu handlowego Bergdorf Goodman w Nowym Jorku na 80-letniej dziś pisarce Jeanne Carroll. Początkowo oskarżenie dotyczyło gwałtu, ale sąd uniewinnił go w tej sprawie i skazał jedynie na zapłacenie ofierze 5 mln dol. za napad i zniesławienie. To ostatnie polegało na tym, że mówił, coś w stylu: „Stara kobieta wszystko zmyśliła, by lepiej sprzedać swoją książkę. To wariatka”.

Liczba kobiet, które przyznają się albo chwala, że miała z nim do czynienia, rośnie z roku na rok. A to kogoś napadł

w klubie, a to w windzie, a to na przyjęciu itd. Trump – nowojorski playboy, imprezowicz – święty nie był. Takich spraw obyczajowych, finansowych, dotyczących prezydentury jest więcej i by je wyjaśnić, należałoby każdej poświęcić odcinek serialu. Wspominam niektóre, by było wiadomo, w jakim świecie – niemal jak z „Procesu” Kafki – Trump walczy o Biały Dom.

W przypadku amerykańskiej polityki, a już zwłaszcza Trumpa, jednak nie jest tym, czym się jawi, czego dowodem jest opublikowany właśnie raport prokuratora i specjalnego doradcy Departamentu Sprawiedliwości Johna Durhama, dotyczący rzekomej współpracy Trumpa z Rosjanami w czasie kampanii prezydenckiej 2016 r. Dokument jest miażdżący dla służb, Baracka Husseina Obamy, Joe Bidena i byłej kandydatki Hillary Clinton. Zespół Durhama na 300 stronach opisuje błąd, oszustwo i wskazuje, że Obama i jego wiceprezydent Biden, FBI i CIA wiedzieli, iż wszystko jest zmyślane, spreparowane przez sztab wyborczy Clinton we współpracy z mediami i służbami. Oczywiście demokraci twierdzą, że prokurator chce wybielić Trumpa, a ich i Bidena fałszy-

wie oskarżyć. Republikanie i sam Trump wzywają do powołania specjalnej komisji w Kongresie oraz śledztwa w sprawie działań FBI i administracji Obamy.

I tak to będzie trwało, cykl wzajemnych oskarżeń może nigdy się nie skończyć i nikt nie będzie wiedział, jak było naprawdę, bo coraz mniej ludzi ufa instytucjom publicznym, mediom, politykom. Pewne jest tylko to, że demokraci nie ośmielą się twierdzić, że Trump został prezydentem dzięki Putinowi. Raport Durhama nie tylko uwalnia Trumpa od zarzutów knowań z Rosjanami, lecz także w jakimś sensie uwiarygodnia jego twierdzenia o skradzionych wyborach 2020 r. Pokazuje, do jakich działań mogą się posunąć rywale polityczni – demokraci.

WIERCIŁBYM, KOCHANIE, WIERCIŁ

Stwierdzenie, że w przypadku amerykańskiej polityki i Trumpa nic nie jest tym, na co wygląda, nie odnosi się tylko do wszechobecnych kłamstw, intryg, lecz także do tego, że polityka to show, a największą gwiazdą jest właśnie „pomarańczowy Donald”. Szorujące po dnie oglądalności CNN zaskoczyło wszystkich, realizując program z Trumpem w formacie tzw. town hall – miejskiej sali. Spektakl na żywo, przy publiczności, która zadaje pytania. Coś jak „Strefa starcia” z TVP Info, tyle że nie w studiu, ale w prawdziwej sali w jakimś mieście – w tym przypadku w Goffstown w New Hampshire. Prowadzącą była młoda, ale doświadczona, atrakcyjna gwiazda CNN Kaitlan Collins. Wybór nie był przypadkowy: piękna, inteligentna kobieta kontra stary playboy, arogancki polityk.

Co mogło pójść nie tak? Wszystko. Na nic mizdrzenie się, reżyseria, zastawiane pułapki. Dla stacji darzącej Trumpa odwzajemnioną nienawiścią spektakl zakończył się katastrofą, a dla niego triumfem, który w sieci obejrzała cała Ameryka. Zaczęło się od przywitania – złożona z republikanów i niezależnych wyborców publika zgotowała mu owację na stojąco. A dalej Trump już tylko powiększał przewagę i to on robił program, a nie CNN. Nie ma znaczenia, jakie były pytania i odpowiedzi. Wspomnę tylko, że podtrzymał swoje twierdzenia, że wybory 2020 r. zostały sfałszowane, że miał więcej głosów niż jakikolwiek urzędujący prezydent w hi-

storii, że gospodarka kwitła. W przypadku Trumpa istotne jest nie to, co mówi, ale jak. Najlepiej oddaje to odpowiedź na pytanie, jaka byłaby jego pierwsza decyzja dotycząca niebotycznych cen energii. „Zaczęłbym wiercić, kochanie, wiercić” – odpowiedział pani z publiczności. To odniesienie do zablokowanych przez Bidena programów wydobywania paliw, ich przesyłu, co wywołało wielki wzrost cen energii i złożyło się na największą od ponad 50 lat inflację. Trump rozwinął kwestię gospodarczą, ale zdanie „Wierciłbym, kochanie” pokazuje jego styl: swobodny, poufaly, skracający dystans, z łatwością dotykający sedna spraw. Bezpośredniość bywa nie tylko przyjazna, lecz także brutalna. Piękna panna Collins usłyszała od starego dziada, że jest wredna. Największym upokorzeniem dla CNN były jednak wyniki oglądalności. Trump przyciągnął 3,3 mln widzów – 8–9 razy więcej niż przeciętnie stacja w najlepszej porze. Następnego dnia w tych samych godzinach CNN zgromadziło tylko 335 tys. widzów.

SERCE I ROZUM AMERYKI


To ważne kwestie, których nie rozumieją polscy, europejscy politycy i eksperci od USA. Z całym szacunkiem dla premiera Morawieckiego, ambasadora Magierowskiego, gen. Andrzejczaka, którzy zaliczyli znakomite występy w CNN czy MSNBC, ale to są niszowe stacje. Do serc i głów Amerykanów trafia się przez Fox News, podcasty, programy w sieci, które gromadzą po kilkadziesiąt więcej odbiorców niż upadające CNN. Jeśli chce się mówić do dziennikarzy i polityków, to CNN jest dobrym miejscem. Ale jeśli chce się przekonać Amerykanów, by zmusili swoich reprezentantów do tego, by USA niosły pomoc Ukrainie, stawiały na Polskę, to tym miejscem jest Fox News i wszystkie te często obywatelskie redakcje, programy w sieci i tzw. stacje syndykatowe (syndicated), skąd wyszły największe gwiazdy Fox News, konserwatyści jak Sean Hannity czy Tucker Carlson. Ten ostatni właśnie został zwolniony, z czego w Polsce się cieszą, bo był zawziętym i pod tym względem głupim krytykiem pomocy Ukrainie. Nie wiem, czy polska dyplomacja podejmowała próby przekonania tego najważniejszego komentatora Ameryki do naszej i ukraińskiej sprawy,

ale praca z amerykańską prawicą, z republikanami to wielkie zadanie. Pomoc dla nas, dla Ukrainy nie może zależeć od koniunktury politycznej w USA.

NIETYBIALNY FAWORYT

I tu wracamy do Trumpa. Wizja jego ponownej prezydentury nie wywołuje w Polsce paniki, jak to się dzieje w Unii. Europosel Guy Verhofstadt opublikował artykuł na portalu Euractiv i napisał: „Donald Trump z pewnością będzie republikańskim kandydatem na prezydenta USA w przyszłym roku. Perspektywę Trumpa 2.0 należy traktować poważnie”. Trzeba się przed nim bronić, więc belgijski eurokrata wzywa do przekazania jeszcze większej władzy Brukseli, a nawet zniesienia krajowych wyborów do Parlamentu Europejskiego.

Unijny i amerykański establishment ma się czego bać – „szalencie” znów w Białym Domu. Trump ma ponad 40 punktów przewagi nad najsilniejszym rywalem do prezydenckiej nominacji republikanów – gubernatorem Florydy Ronem DeSantisem, w którym upatrywano jego młodszej, lepszej wersji. Pozostali, jak były prezydent Mike Pence, się nie liczą. Ich poparcie nie przekracza 3 proc. A demokraci doczekali się „wymarzonego” rywala. Opublikowany jeszcze przed town hall sondaż stacji ABC i „The Washington Post” pokazuje, że 49 proc. respondentów zdecydowanie lub prawdopodobnie zagłosowałoby na Trumpa przeciwko Bidenowi, podczas gdy obecny prezydent w takim scenariuszu ma tylko 42 proc. To 7 punktów różnicy.

Ekspert z telewizorów, którzy twierdzili, że Trump jest niewybieralny, jak zwykle się mylą. Nie rozumieją współczesnej polityki i fenomenu byłego prezydenta. Jego siła tkwi nie tylko w rozsądnych poglądach, które establishment pogardliwie określa mianem chłopskiego rozumu, lecz także w osobowości. Zaczynamy żyć w epoce charyzmatycznych przywódców, ludzi z krwi i kości, co oznacza też pełnych wad. Obywatele mają dość aparatczyków, produktów marketingu politycznego, automatów, jak Merkel, Macron, Scholz, von der Leyen czy Draghi. Niezależnie od indywidualnych rozstrzygnięć coraz częściej wolą oni ryzyko z takimi jak Trump czy Meloni. 

Gdy Ukrainiec spotyka polskiego leminga

Gdy przeciętny Ukrainiec spotyka polskiego antypisowca obie strony doznają lekkiego dysomansu, bo Polak słucha pochwał dla jego państwa, a Ukrainiec dziwi się, że tak życzliwy Kijowowi rząd miałby być prorosyjski



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

Przez 15 miesięcy od rosyjskiej inwazji granicę polsko-ukraińską przekroczyło aż 12 mln uchodźców. Część z nich pojechała dalej, część wróciła już dawno do swojej ojczyzny, ale od początku pełnoskalowej wojny przynajmniej 3 mln ukraińskich cywiliów przebywa w naszym kraju w obawie przed wojną. To oznacza dziesiątki milionów spotkań, rozmów, wymiany

zdań i światopoglądów, ale zderzenie cywilizacyjne przebiega gdzie indziej, niż wskazywałyby stereotypy. Bo to nie jest tak, że jakiś mityczny, zacofany Ukrainiec spotyka nowoczesnego Polaka, ale przeciętny uchodźca napotyka liberalnego mieszkańca dużych miast w Polsce. I to tutaj zaczyna się zderzenie.

UCHODŹCY W WIELKICH OSRODKACH

Jak wynika z oficjalnych danych polskich samorządów, w samej Warszawie obecnie przebywa 100 tys. ukraińskich uchodźców, we Wrocławiu o połowę mniej, w Krakowie czy Poznaniu po blisko 30 tys. ludzi. Tyle oficjalne dane, bo wiele osób z Ukrainy po pierwszym szoku

znalazło już pracę, usamodzielniało się i nie występuje w urzędowych statystykach otrzymujących pomoc dla uchodźców. Faktem jest jednak, że na polsko-ukraińskim styku często spotykają się „zwykły Ukrainiec” z „liberalnym Polakiem”. Z tym samym, który po lekturze Onetu, „Gazety Wyborczej” i oglądaniu TVN wierzy, że PiS to rosyjska agentura, gdy zaś Ukraińcy widzą i są oszołomieni życzliwością nie tylko narodu polskiego, lecz także samego państwa i jego władz.

SZKOLENIE Z TOLERANCJI

Dmitrij np. sprowadził się do Warszawy tuż przed wojną i szybko znalazł pracę jako barista w jednej z popularnych kawiarni. Takiego typu lokale w stolicy to często

także tęcza placówki epatujące swoją tolerancją. Dla Dmitrija było szokiem, gdy menedżer zaprosił go na szkolenia z tolerancji. – Na zajęciach mówiono nam, że Polska jest najbardziej homofobicznym krajem w Europie – opowiada Dmitrij tygodnikowi „Sieci”. – Ja o tym nie wiedziałem, bo na Ukrainie to za pomalowane paznokcie facet może dostać wzęby, a w Warszawie widać to często i nikomu się krzywdą nie dzieje – zastanawia się chłopak.

Samo przekonanie polskich lemingów, że w Polsce gejom dzieje się krzywda, wynika m.in. z zakłamania aktywistów LGBT+. Taki np. raport ILGA-Europe mówi, że w Polsce gejom żyje się najgorzej na kontynencie, choć np. na Ukrainie jeden z samorządowców Kijowa pogardliwie opowiadał, że gejami trzeba palić w piecach. Ale nie, oficjalna narracja musi z Polski zrobić piekło dla mniejszości seksualnych. Dmitrijowi nie wyjaśniałem, jak jest naprawdę, pewnie nieraz zetknie się jeszcze z sytuacją, gdy będzie nasz kraj podziwiał wbrew obsesyjnym oszczerstwom części liberałów i lewicy.

Ukraińcy w tych sprawach mają bardziej konserwatywne podejście niż przeciętny mieszkaniec Warszawy. Ciekawym przypadkiem jest liberalne, rosyjskojęzyczne konto w serwisie Instagram, o nazwie warsaw.here. Oprócz ciekawostek o naszej stolicy, nowych atrakcjach w mieście jest tam dużo proliberalnego przekazu (promowanie Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich) czy właśnie treści LGBT+. Gdy jednak na profilu pojawia się tęcza propagandy, to rosyjskojęzyczni warszawiacy, przeważnie Ukraińcy ze wschodniej części kraju, wcale nie podzielają opinii administratora. Oto przykładowe komentarze na wpis, że Polacy sprzeciwiają się gejom: „Przypuszczam, że sprzeciwiają się tylko agresywnemu narzucaniu się” (nikolay_landau), „Ja nie mam z takimi Polakami do czynienia” (Andrzej Sforza), „To chyba w jakiejś równoległej galaktyce”.

To podejście pokazuje ciekawe zderzenie – zwykli Ukraińcy, niezainfekowani „Gazetą Wyborczą” i TVN widzą dobrze prosperujący i tolerancyjny kraj, bardzo pomagający Ukrainie. Ale polscy gospodarze, często z poglądami przerobionymi

przez hunwejbiniów Michnika i Węglarczyka, próbują przekonać swoich gości ze Wschodu, że nad Wisłą to jest naprawdę bardzo, bardzo źle. Czy zdrowe i świeże spojrzenie uchodźców z Ukrainy wygra z indoktrynacją zakłamanych mediów?

NASZE POLSKIE MOCARSTWO

Bo na samej Ukrainie Polska jawi się jako mocarstwo. Spędziwszy tam 170 dni, spotykałem się z wyrazami podziwu dla naszego państwa, czasem aż w przerysowanej formie. Mnie, dziennikarza tygodnika „Sieci”, jeden z majorów policji pod Bachmutem przekonywał, bym wspierał Andrzeja Dudę, a żołnierze w Chersoniu zapewniali, że gdyby Polska włączyła się do wojny, to z jej potęgą militarną („druga armia w NATO” – usłyszałem) Ukrainę

Dla Dmitrija było szokiem, gdy menedżer kawiarni zaprosił go na szkolenia z tolerancji. – Na zajęciach mówiono nam, że Polska jest najbardziej homofobicznym krajem w Europie – opowiada tygodnikowi „Sieci”

wyzwolilibyśmy w dwa tygodnie. Z kolei 14 lutego słyszałem w Kijowie życzenia dla zakochanych: „Uściskaj mnie jak Andrzej Duda naszego prezydenta”, a sam jako dziennikarz z Polski byłem postrzegany jako obywatel lokalnego mocarstwa. To tylko z okładek liberalnych tygodników i czołówek materiałów stacji z Wiertniczej zioną wszelkie, jakie ktokolwiek wymyśli polskie słabości, dochodzi obraz Polski w rozsypce.


UKRAIŃCY STAWIAJĄ NA POLSKĘ

O eksplozji uznania dla Polski, Polaków i dla polskiej kultury świadczą też liczby. Wyniki badań społecznych opublikowanych przez Centrum Mieroszewskiego mówią same za siebie. 73 proc. obywateli

broniącego się kraju poprawiło swoją – i tak zazwyczaj dobrą – opinię o Polakach. Połowa Ukraińców informacje o naszym kraju czerpie nie tylko z mediów, lecz także od swoich znajomych czy bliskich, którzy są w Polsce. 12 proc. obywateli Ukrainy twierdzi, że było kiedyś w Polsce. Aż 84 proc. Ukraińców podoba się Polska jako kraj do życia.

Biorąc pod uwagę fakt, że Polacy są teraz na Ukrainie najlepiej kojarzonym narodem na świecie, a Andrzej Duda urósł tam do roli symbolu życzliwości dla broniącego się kraju, a także to, że Polska jest jedynym krajem po wschodniej stronie dawnej żelaznej kurtyny, który osiągnął ekonomiczny sukces przy zachowaniu wysokich aspiracji politycznych (Trójmorze, wschodnia flanką NATO), stajemy się jako kraj po prostu pozytywnym mitem wspólnotowym Europy Środkowo-Wschodniej. Nic dziwnego, że rosyjska propaganda wściekle nas atakuje, skoro jesteśmy dowodem na to, że da się oderwać od Rosji, pójść własną drogą i osiągnąć sukces.

WIZERUNKOWY PARADOKS

Podczas wielkiej, ponadpartyjnej pomocy dla uchodźców zza naszej wschodniej granicy doszło do takiego paradoksu, że najbardziej życzliwi Polsce Ukraińcy trafili do wielkich miast, gdzie pedagogika wstydu i antypisowska propaganda mocno skrzywiły obraz rzeczywistości. Uciekając spod bomb do polskiego kraju, Ukrainiec dziwił się niejednokrotnie opowieściom, że tutaj nie ma prawdziwej demokracji, że są Trybunał Przyłębskiej, dyktator Kaczyński i prorosyjski PiS. Zwykła obserwacja rzeczywistości przynosi wnioski dokładnie odwrotne – o silnej, rozwijającej się i tolerancyjnej Polsce. Widać, nie da się tego zobaczyć znad szpalt niektórych polskich gazet i na ekranie włączonego na „Fakty” TVN. Choć sądzę, że Ukraińcy – doznawszy tyle dobra, a ich państwo otrzymawszy tyle wsparcia od Polski, zwłaszcza militarne – nie dadzą się przekonać kilku onetowym sloganom, to jednak można by zadać pytanie: o ile więcej jako Polacy moglibyśmy zrobić, gdyby liberalne media nie demolowały wizerunku naszego kraju nawet wbrew podstawowym faktom? 

Komu przeszkadza pałac Saski?

Nie mam wątpliwości, że gdyby Platforma Obywatelska wygrała jesienne wybory parlamentarne rozpoczęta wreszcie odbudowa pałacu Saskiego natychmiast zostałaby wstrzymana. Dlaczego?



JERZY BIERNACKI

Pamiętamy przecież, że nie dopuściła do niej była prezydent Warszawy i była wiceprzewodnicząca PO Hanna Gronkiewicz-Waltz kilkanaście lat temu. Jasno stawiała też sprawę była wicemarszałek Sejmu z ramienia tej partii – Małgorzata Kidawa-Błońska. Z jej wypowiedzi wynikało, że PO nie aprobuje decyzji o odbudowie pałacu, uważając ją za niepotrzebną, zbyt drogą, a ponadto uważała ją za przejaw „PiS-owskiej gigantomanii”.

Partia ta – co wiadomo od dawna – nie ceni, a może nawet nie rozumie znacze-

nia wartości symbolicznych w utrwalaniu tożsamości wspólnoty narodowej. Dawno temu Donald Tusk powiedział, że jak ktoś przychodzi do niego z wizją, to natychmiast odsyła go do psychiatryka. Oni nie mają tego w swoim DNA ani w (ukrytym głęboko przed wyborcami) programie polityczno-gospodarczym, a dla wspólnoty narodowej żywią jawną pogardę.

Jednakowoż wszystkie znaki na niebie i (zwłaszcza) na ziemi wskazują, że takie nieszczęście jak wygrana największej partii opozycyjnej, obezwładnionej własną słabością intelektualną (wbrew swoim przeświadczeniom) i obciążonej furiackimi, antydemokratycznymi wypowiedziami swojego przewodniczącego (na które powinni zareagować obrońcy demokracji w UE), nie może Polaków spotkać. Bo Jarosław Kaczyński i jego otoczenie ma szansę dokonać czegoś podobno nie-

możliwego: zdobycia dla Zjednoczonej Prawicy trzeciej kadencji.

NIE TYLKO POLITYKA

Ale są też inni przeciwnicy odbudowy pałacu Saskiego (i pałacu Brühla oraz trzech kamienic przy ul. Królewskiej) i mają argumenty znacznie cięższego kalibru niż PO. Na dodatek są to ludzie stojący po stronie republikańskiej i konserwatywnej. Gdy prezydent Andrzej Duda podjął decyzję o odbudowie całego kompleksu w 2018 r. (w rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości), zatelefonował do mnie mój dobry znajomy, architekt, wydawca najosobliwszej na świecie gazety pt. „Arche” (ukazuje się nieregularnie) – można go też nazwać ekspertem w sprawach architektury i urbanistyki – i niemal z rozpaczą w głosie powiedział:

– Po co oni wpadli na pomysł odbudowy tego ruskiego pałacu?! – Ruskiego? – zapytałem zaskoczony. – No tak! – zakrzyknął. – Przecież odbudowano go za czasów Paskiewicza, likwidatora autonomii Królestwa Polskiego po powstaniu listopadowym, w końcu lat 30. i na początku 40. XIX w. Paskiewicz za to płacił, projekty zatwierdzał car Mikołaj I, zwany przez Polaków Pałkinem. – Ale przecież potem generał szybko zaczął się polonizować, a w II RP... – zacząłem bronić się słabo, przyznawszy się wpieryw, że jestem wielkim zwolennikiem tej rekonstrukcji – Słuchaj – przerwał mi apodyktycznie i rozpoczął wykład, mówiąc: – Dominantą pl. Saskiego, dzisiaj Marszałka Piłsudskiego, jest krzyż papieski i każde myślenie o jakimś zagospodarowaniu tej przestrzeni powinno się od niego zaczynać. On powinien być dla projektanta głównym punktem odniesienia...

Znałem tę śpiewkę, To była jego idée fixe. Swego czasu godzinami, z niezwykłym zapalem przedkładał mi swoją koncepcję, która wówczas, gdy w ogóle nie myślało się o odbudowie obu pałaców wysadzonych przez Niemców w grudniu 1944 r., wydawała mi się dość interesująca. Nie mogę wyjawiać nazwiska mojego rozmówcy, gdyż nie mam jego upoważnienia do tego, a rozmowa była ściśle prywatna. Zapewnił mnie przy tym, że jego negatywny stosunek do tej odbudowy podziela z tych samych powodów wielu ludzi z jego środowiska. Rozmowę zakończyliśmy, że tak powiem, ustaleniem czegoś w rodzaju protokołu rozbieżności.

ROSYJSKI PLAN, POLSKIE ZWYCIĘSTWO

Istotnie, przebudowa niszczonego pałacu Saskiego w latach 1837–1841 dokonała się pod rosyjskim kierownictwem i car zatwierdzał projekt, ale był to projekt polskich architektów, najpierw Adama Idźkowskiego (już w 1829 r.), absolwenta Uniwersytetu Warszawskiego i ucznia Antonia Corazziego), a później Wacława Ritschla (spolonizowanego Czecha), który w swoim projekcie uwzględnił pomysły Idźkowskiego. Ritschl zaakceptował słynną kolumnadę między skrzydłami pałacu, wzorowaną na wcześniejszym projekcie Idźkowskiego, odrzuconym z powodu wysokich kosztów.

Ostateczny kształt kolumnadzie, takiej, jaką znało kilka pokoleń warszawian, nadał jednak Wacław Ritschel. Brzmi to wszystko może trochę zawile, ale obaj architekci z sobą współpracowali i jak można się domyślać, chcieli dać stolicy, wówczas zaledwie dwu- lub trzypiętrowej, pewien element monumentalny, wielkomięjski, będący jednocześnie jednym z punktów tzw. Osi Saskiej, która szła, jeśli tak można powiedzieć, od dawnych pól elekcyjnych na Woli, przez (bardzo wysoką) Żelazną Bramę, zamykającą od południowego zachodu ogród Saski, przez pałac Saski z ową kolumnadą, nikiącą gdzieś aż nad Portem Praskim.

W 20-leciu międzywojennym rozważano nawet obniżenie o jedno piętro czteropiętrowej kamienicy Beyera (popularnego XIX-wiecznego fotografa), by umożliwić prosty przebieg osi, w czym przeszkadzał północny narożnik budynku. Kamienica Beyera stała przy Krakowskim Przedmieściu, tam gdzie obecnie znajduje się skwer z pomnikiem Bolesława Prusa. Jak mądrze pisał prof. Bolesław Szmidt: „Zwłaszcza Krakowskie Przedmieście, choć rozpatrywane w kolejności odsłaniających się obrazów, nie może być w pełni odczytane bez ogarnięcia jego panoramy przestrzennej”. Którą tutaj – dodajmy – stwarza właśnie Oś Saska, podobnie jak – w mniejszym jednak stopniu – w innych miejscach ulica Królewska, Świętokrzyska (zwłaszcza po jej przebiegu do ul. Kopernika) czy Al. Jerozolimskie. (Cytaty powyższe pochodzą ze wstępu prof. Bolesława Szmida do książki Juliusza A. Chrościckiego „Trakt Królewski”, Warszawa 1981, s. 10).

Oś Saska jest więc linią czy raczej pasmem (bo musi mieć przestrzeń) nie rzeczywistym, lecz raczej wyobrażonym (ma tylko rzeczywiste, materialne punkty, które łączy), ale mimo to oddziałującym wzbogacającym na przestrzeń Traktu Królewskiego w miejscu, gdzie się z nim krzyżuje.

To Ludwik Krzywicki w swoich „Wspomnieniach” zauważył, że Warszawa przez cały niemal XIX w. była miastem niskopiennym. Zmieniło się to – zaznaczał – dopiero na przełomie XIX i XX w., kiedy to wzdłuż Marszałkowskiej i Al. Jerozolimskich zaczęto budować wyższe, pięcio- czy nawet sześciopiętrowe kamienice i Warszawa urosła, by w czasach, gdy to pisał, zyskać miano Paryża Północy (lecz jedynie w mniemaniu Polaków).

Charakterystyczne, że przebudowując pałac, polscy budowniczowie pozostawili fragmenty starego muru, mogąc to tłumaczyć potrzebą oszczędności, a w istocie – jak można sądzić – szło o zaznaczenie symbolicznego związku między dawną i nową budowlą. Tym bardziej że w małych elementach architektonicznych wzorowano się na tych poprzednich, ogólnie dbając o zachowanie jednolitego stylu klasycystycznego.

Realnie sprawa wyglądała tak, że Rosjanie, nie wiedząc, co zrobić z gwałtownie wymagającym co najmniej renowacji pałacem w latach 30. XIX w., sprzedali go Janowi Skwarcowowi, zamożnemu kupcowi rosyjskiemu działającemu w Królestwie Polskim, zobowiązując go jednocześnie do przebudowy całego kompleksu. Rzecz jasna, że wszystkie ważne decyzje podejmował Iwan Paskiewicz, namiestnik cara



Fot. Biblioteka Narodowa



w Warszawie, projekty – jako się rzekło – zatwierdzał car, Paskiewicz zapewne także co najmniej współfinansował, jeśli nie w pełni dotował odbudowę, mając wobec przyszłego odnowionego gmachu swoje zamysły. Ale *ad usum Delphini*, dla ludu warszawskiego, który kochał ogród Saski i jego budowlę, ważny miał być Skwarcow jako odpowiedzialny za odbudowę. Przez pewien czas pałac nosił nawet miano Domu Skwarcowa, ale nazwa się nie przyjęła, a jej patron zmarł w 1850 r. Jak wiadomo, Rosjanie zawsze byli i są mistrzami tzw. maskirowki.

Już jednak 29 listopada 1841 r. szydło wyszło z worka, gdy przed nowym pałacem postawiono wysoki obelisk na pamiątkę wiernych carowi (jak myślał) generałów, których powstańcy rozstrzelali w pierwszych dniach powstania listopadowego. W rzeczywistości było nieco inaczej, gdyż niektórych spośród tej siódemki zastrzelono przez pomyłkę albo z powodu zemsty osobistej, tak że tych wiernych pozostało najwyżej trzech albo czterech. Tak pisał o obelisku Andrzej Niemojewski w wierszu „Na Saskim placu”:

*Na Saskim placu pół wieku szarżeje
Ten posąg hańby, monument niewoli.
Tu kończą pochód nowożytnie dzieje,
Sztandar ich rozdarł gwałtu szpon sokoli.
Przed tym pomnikiem historia z kulturą
Wzrok opuszczają ku ziemi ponuro.*

Nie spodziewał się Paskiewicz, że ów pomnik hańby stanie się obiektem pewnych nieoczekiwanych praktyk. Oto bowiem każdy przechodzień o polskim sercu, przechodząc obok tego monumentu, czuł się zobowiązany do dyskretnego splunięcia w jego kierunku lub wprost na niego. Jest pyszna anegdota o Marii Skłodowskiej, która jako licealistka też to zobowiązanie wypełniała gorliwie, jakkolwiek licealistce płuć na ulicy nie przystoi nawet dzisiaj, a cóż dopiero wówczas. Zdarzyło się raz, że Maria, idąc tamtędy z koleżanką, minęła pomnik bez splunięcia, bo były zagadane. Po kilku krokach zdały sobie z tego sprawę, powróciły i... spełniły swój obowiązek.

Pomnik został usunięty dopiero po mniej więcej 50 latach, gdy rozpoczęto budowę sławetnego soboru pw. św. Aleksandra Newskiego, wznoszonego przez 12 lat wraz z 70-metrowej wysokości dzwonnica, psując w ten sposób i niszcząc piękno założenia architektoniczno-urbanistycznego pl. Saskiego. Obelisk przewieziono na pl. Zielony (dziś pl. Jana Henryka Dąbrowskiego). Jak wiadomo, Polacy w 1926 r. rozebrali cerkiew, co było niełatwym i kosztownym przedsięwzięciem, ale ze wszech miar słusznym.

SALON WARSZAWY

Natychmiast po dokonaniu przebudowy, jeszcze za życia Skwarcowa, zaczęli się wprowadzać do pałacu zamożniejsi warszawianie (czynsze nie były niskie). W 1854 r. doliczono się 54 głównych najemców. Spośród sław Warszawy w budynku mieszkali m.in.: dr Jan Oczapowski, lekarz (ulica jego imienia znajduje się na Bielanach), pomysłodawca nazwy pierwiastka „tlen”, a także Apolinary Kątski, skrzypek, kompozytor i pedagog, założyciel Instytutu Muzycznego w Warszawie. Pałac mieścił także, jak za czasów bursy Mikołaja Chopina, instytucje edukacyjne, np. pensję dla panien prowadzoną przez Laurę z Brzezińskich Guérin, w której polskiego uczył Stanisław Jachowicz, poeta, autor znanych wierszy dla dzieci. W pałacu znajdowały się magazyn mody francuskiej Adeli Hoffman, handel win, funkcjonowała galeria obrazów, a także kancelaria konsulatu austriackiego w Warszawie, sławne cukierki itp.

W ciągu następnych 20 lat pałac Saski tętnił życiem, urządzano tu bale, wystawy i koncerty, u państwa Karskich bywał często Józef Ignacy Kraszewski, zainteresowany córką gospodarzy, Bronisławą, salon literacko-artystyczny prowadzili państwo Łuszczewscy, tu jako recytorka i improwizorka poezji debiutowała i następnie występowała przez lata ich córka Jadwiga, która na miejsce nazwiska przyjęła później pseudonim literacki

Deotyma. Z czasem pisarka o niemałej sławie, autorka kilku książek, przez lata prowadziła pierwszy (czyli najważniejszy) salon literacki Warszawy.

Jak widać XIX-wieczni Polacy z zamożniejszych sfer nie pytali, kto opłacał przebudowę pałacu i kto go odbudowywał, po prostu korzystali z niego, mieszkając w nim, bawiąc się, słuchając muzyki i ciesząc się jego pięknem. Po upadku powstania styczniowego, podczas którego ucierpiał ogród Saski, pałac przejęło rosyjskie wojsko.

Z ENIGMĄ W TLE

Kiedy zaś w 20-leciu międzywojennym pałac Saski przejął Sztab Generalny Wojska Polskiego (a jego szef, marszałek Józef Piłsudski, w latach 1922–1923 mieszkał tam razem z rodziną) i gdy trzech znanych matematyków (Rejewski, Różycki i Zygałski) tam pracowali, by w 1932 r. złamać system szyfrowy niemieckiej Enigmy, i gdy wcześniej, w 1925 r. w kolumnadę wkomponowano Grób Nieznanego Żołnierza Polskiego, została przybita na nim ostateczna pieczęć polskości.

W II Rzeczypospolitej dopiero 3 maja 1923 r. został uroczystie poświęcony, postawiony już wcześniej przed kolumnadą, po blisko 100-letniej tułaczce, pomnik księcia Józefa Poniatowskiego, wzorowany na rzymskim pomniku Marka Aureliusza, dłuta Bertela Thorvaldsena.

Nie omawiam otoczenia obu pałaców, popularnych inwestycji w ogrodzie Saskim, takich jak wodozbiór czy teatr letni, w którym w 1874 r. występowała Helena Modrzejewska, fontanny, która przetrwała, ani niezwykłych rzeźb symbolizujących różne dziedziny nauki i kultury, z których (ponad 70) zostało tylko ok. 20. Skupiłem się bowiem na polskości pałacu – jest przecież jej symbolem – jak napisano w ustawie Sejmu o jego odbudowie.

PS Pisząc powyższe, czerpałem informacje z książki Joanny Borowskiej (m.in. fotografiki i dokumentalistki prac archeologicznych na pl. Piłsudskiego) pt. „Niezwyczajna historia pałacu Saskiego”, Warszawa 2020

Kupa gnoju

Bóg oczyszcza Polskę, oczyszcza Kościół, wychodzą na jaw potworne krzywdy. „Jeśli spodobało się Bogu ukryć perłę w kupie gnoju, i tam pójdziemy jej szukać”. Tak o zgnitym do dna francuskim Kościele początku XX w. mówił Jacques Maritain. I tak odpowiadam tym, którzy pytają mnie: „Jak możesz tkwić w tym kościelnym bagnie?”

Prawi ludzie się gorszą. Zło niszczy wszystko wokół. Najpierw troska o ofiary. Prawda oczyszcza. Ten, który dziś molestuje, jutro zgwałci. O ile z tej drogi w przepaść nie zawróci go prawda.

Kogo kochasz, instytucję czy jej Założyciela? Ludzie są grzeszni, ze stworzenia nigdy nie należy czynić sobie idola. Święty Kościół, najświętszy, pełen grzesznych ludzi. Bóg się grzechem nie brzydzi, odwraca się od tych, którzy odtrącają wyciągniętą w ich kierunku rękę Jego Syna.

Wierzę w Jezusa, nie w Tradycję, nie w charyzmaty, ufam Jego łasce, szanuję autorytet, patrzę na czyny. Wierni potrzebują przewodnika, pasterza, potrzebują ojca jak każdy. Wypatruję biskupów z Ducha Świętego, modłę się w intencjach papieża, jestem posłuszny proboszczowi.

Mam łzy w oczach, gdy widzę plecy kapłana pochylającego się z nabożnym szacunkiem nad największym skarbem, Jezusem Eucharystycznym. Tyle że każda sztuczna forma mnie odstrasza. Drażnią mnie charyzmatyczni kapłani z Brazylii, gdy wymuszają spoczynek w Duchu Świętym, ale mam łzy w oczach, gdy widzę ich wychodzących do dzieci ulicy, do prostytutek i ludzi pięści o twardych karkach. Upadają też ludzie Ducha, nie ma człowieka bez grzechu. Czcinymy bezgrzesznego Jezusa.

Ilu pedofilów z premedytacją wybrało karierę w Kościele, w harcerstwie, jako dyrygenci chórów dziecięcych, redaktorzy dziecięcych programów, opiekunowie młodzików i juniorek?

Ale najgorsze jest wykorzystywanie autorytetu instytucji założonej przez Bezgrzesznego, by bezkarnie grzeszyć.

Każdy drapieżnik seksualny, który tak sobie wymyślił życie, wciągnął w bagno wszystkich swoich współbraci i przełożonych, którzy go kryli, przymykali oko, nie mieli siły zmierzyć się z potwornością, nie mieli odwagi, by chronić kolejne ofiary. Są one również na ich sumieniu.

Krzywdzą też kapłani słabi. Zło czyni zło, Bóg ma dla każdego ratunek. Trzeba tylko Mu zaufać.

Kościół był w jeszcze gorszym stanie niż dziś już przynajmniej dwa, a może trzy razy. Podnosił się pokorą świętych zakonników i kapłanów, świętych sióstr oraz świętych świeckich kobiet i mężczyzn. Dziś też się podniesie. Na 400 tys. kapłanów katolickich, ilu jest krzywdzicieli? Skrajna mniejszość. Ale czy taka świadomość sprawia, że mniej boli?

Nie mam złudzeń co do kondycji ludzkiej, nie mam złudzeń co do grzeszności wielu oskarżonych, ale czy ktoś przeprosił oskarżonych niewinnie? Czy któryś z obrońców ofiar zauważył, że fałszywie oskarżeni to również niewinne ofiary?

Bóg oczyszcza Kościół z gnoju, nie broń winnych, nie brudź sobie duszy. Módl się za ofiary, za krzywdzicieli, za oskarżycieli. Ty, który wyrzekasz, wyklinasz, robisz co dzień rachunek sumienia ze swoich czynów miłosierdzia? Modlisz się za bliźnich? Dajesz jałmużnę, ale nie z tego, co ci zbywa?

Bóg oczyszcza Polskę, oczyszcza swój Kościół, dobrze, że boli. Będzie mniej niewinnego cierpienia. Niektórzy pójdą w zaparte. Mam pod powiekami nagrane ukrytą kamerą polowanie Józefa Wesołowskiego na Dominikanie. Gdy usłyszałem od bezpośrednich świadków, co robił bp Paetz w Płocku, o mało nie straciłem wiary, byłem świeżo nawrócony. Dziś cudzy grzech mnie nie



ROBERT TEKIELI

zabija. Dziś uginam się pod ciężarem swoich własnych grzechów.

Nie wiem, czy są prawi wszyscy oskarżyciele winnych i niewinnych kapłanów. Czy robią to dla ofiar, czy dla kariery, czy dla rozgłosu. Na pewno determinacja wielu wiernych, którzy dążą od lat, by winni zostali ukarani, jest godna szacunku. O ile nie atakują wspólnoty i nie współdziałają z środowiskami wrogimi Bogu i Kościołowi. Trzeba wspierać ich modlitwą, by zło nie wyrzuciło ich poza obręb mistycznego Ciała Chrystusa. Troska o ofiary, żądanie sprawiedliwości, ukrócenie zgorszenia.

Były łowca niewolników ciągnie w górę wodospadów swoją zbroję i klingi, które skrwawił. Znalazł odpuszczenie swoich grzechów i przebaczenie, zaczął służyć tym, na których polował. Za najgorszy odpuszczony grzech można zadośćuczynić. Nie zginą grzesznicy, zginą ci, którzy nie ufają Bogu, którzy powtarzają: „Jezu, nie ufam Tobie”.

Masz czarne podniebienie. Mam czarne podniebienie. Każdy ma. Ale Bóg pamięta, że z prochu mnie ulepił, z miękkiej gliny. Lituje się nad mordercą i gwałcicielem. Oby tylko każdy z nas rzucił się w ramiona Jezusa. Zaufał.

Krew Jezusa oczyszcza mnie z każdego grzechu, muszę tylko nie uciekać przed prawdą. Krwią zostaliśmy wykupieni.

Warte „Wyglądała teraz na fizycznie mniejszą, była mała, rozwścieczona i uległa”. To cytat z fascynującej feministycznej powieści Ursuli Le Guin. „Oko czapli” jest oświeceniową powiastką dydaktyczną. Ale ten poziom warto pominąć. Moc powieści Le Guin leży w portrecie kobiety i ludzkiej cywilizacji.

Wydawnictwo Prószyński i S-ka zebrało dla nowego pokolenia czytelników w jeden tom trzy powieści Ursuli Le Guin: wspomniane „Oko czapli”, przeznaczone dla dorastającej młodzieży fantasy „Miejsce początku” oraz science fiction „Jesteśmy snem”, opowiadające o rzeczywistości: możliwość rozwiązywania problemów ludzkości na pstryknięcie palca kończy się czynieniem świata coraz gorszym.

Doskonałe „Oko czapli” opublikowane po raz pierwszy w antologii SF „Millennial Women” niesie z sobą cały bagaż feministycznych złudzeń. Kultura męska, zdobywcza, dumna, przegrywa. Kultura miękka, kobieca – rolniczy Lud Pokoju, zwycięża, urzeczywistniając swoją utopię.

Cywilizacje buduje się przeciwko dzikiemu pazurowi natury. Na pustkowiu ludzie giną. Bohaterką powieści jest 20-letnia kobieta, „dziecko tych, którzy przez 100 lat budowali ściany, by się od pustkowiecia odgradzić, i zaprzeczali jego istnieniu”. Znaliz je i bali się go. Pustkowiecie i cywilizacja.

Ta powieść to studium władzy. Patriarchalny świat. Kulturowe formy ograniczające kobiety. I nie ma co dyskutować z faktami. W XX w. kobiety nie miały w Europie praw obywatelskich, we Francji jeszcze w latach 70. samotna wdowa nie była w stanie przeprowadzać niektórych operacji finansowych na swoim majątku, musiała oddać się choćby pod fikcyjną kuratelę jakiegoś mężczyzny.

Le Guin wyabstrahowała opozycje – pustkowiecie vs. cywilizacja, mężczyzna vs. kobieta – jak w retorcie. Odarła rzeczywistość ze zbędnych ozdób, stworzyła model, przeprowadziła wiwisekcję, zoperowała kulturę Zachodu.

Traktowanie przez wieki kobiet jak dzieci, jak osób prawnie niepełnosprawnych owocuje dziś buntem. I co z tego, że jest on absurdalny?

Oto odpowiedź, oto apoteoza feministki i jej autoportret. Oto jak Lev, powieściowy niestosujący przemocy, gotów oddać życie w walce o pokój mężczyzna, widzi Luz, dziewczynę ukształtowaną w ryzach kultury męskiej: „Stała tam kobieta, stała samotnie w miejscu, gdzie nie mogła otrzymać pomocy ani znaleźć schronienia, była kobietą na pustkowiu. Jego żal zginął w podziw i strachu. Bał się

jej. Tkwiła w niej siła czerpana nie z miłości, zaufania czy wspólnoty, siła, która nie pochodziła z żadnego źródła, które powinno ją dawać, z żadnego źródła, jakie znał. Bał się tej siły i jej pragnął”. Kto? Mężczyzna z marzeń feministki.

Le Guin stworzyła utopijny świat marzeń, nieistniejący świat ziemskich aniołów. Wszystkie demokratyczne debaty Ludu Pokoju były spokojne, zawsze wspólnie znajdowano mądrość. Tak wygląda królestwo Boże, w świecie rzeczywistym zawsze pojawia się niedojrzałość, strach, ambicje i głupota. Le Guin opisuje świat bez narodów i Kościoła: „Gdy się obejrzała, nie było widać niczego oprócz Wieży Pomnikowej, bladej i zaniedbanej, wskazującej bezsensownie w niebo” – tak jest definiowana filozofia konstytuująca tę narrację. Tyle że cały czas mamy u Le Guin echa chrześcijańskich prawd: „Wolność zdobywa się przez ofiarę”.

Chrześcijańska figura ofiary, śmierci uzdrawiającej, przywracającej kosmiczny ład, zamieniona w swoją karykaturę. Umrzeć za ideę? Lewicowy absurd. Można umrzeć, ratując tonącego człowieka, można poświęcić życie za przyjaciela, towarzysza broni, rodaka. Z pomocą idzie się do konkretnej osoby. Tak jak Jezus.

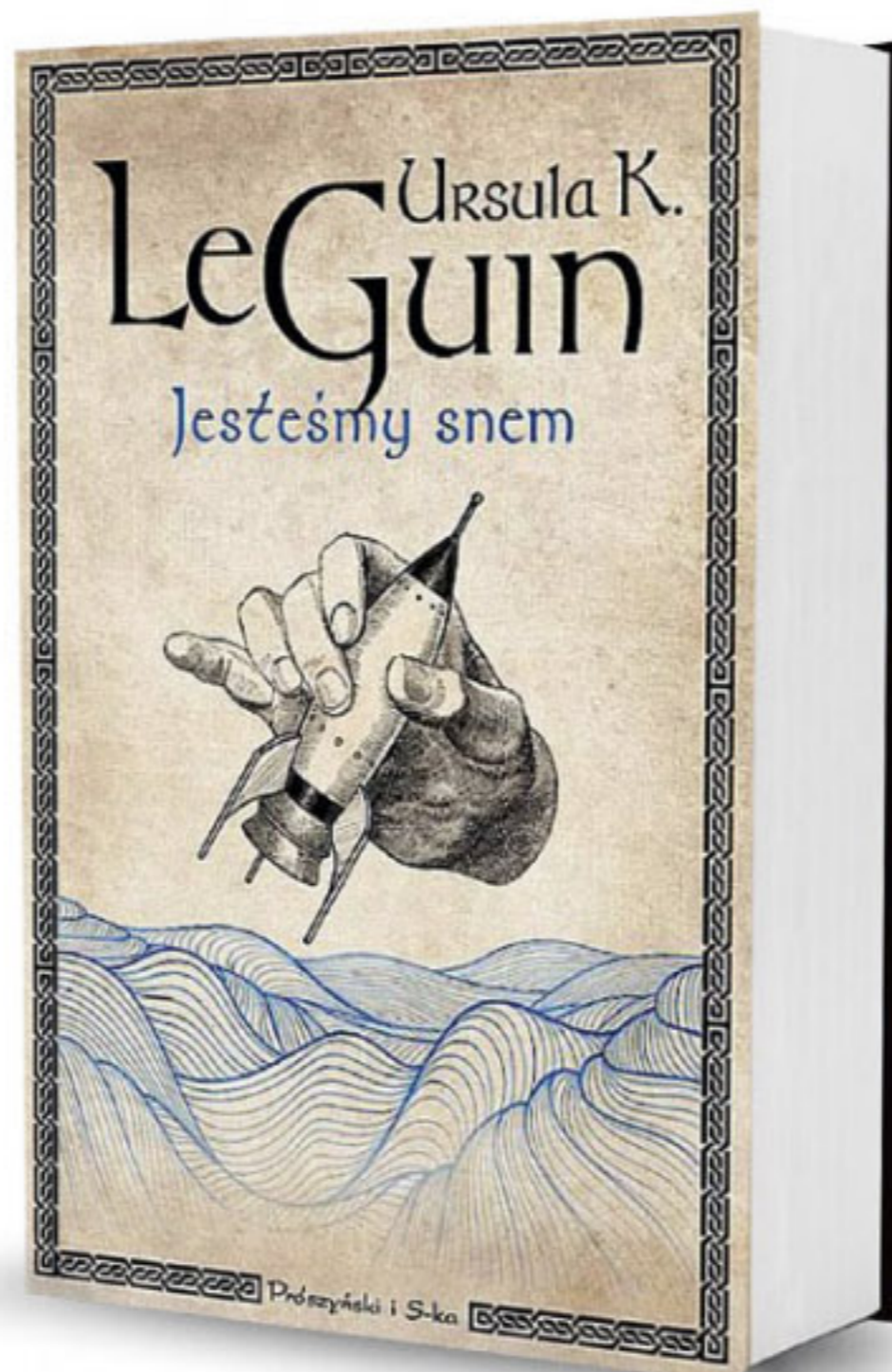
Niechrześcijańska strona dzisiejszego kulturowego i duchowego sporu, nurt buntu, protestu, walki z systemem, patriarchatem, klasą, rasą – wszyscy ci polityczni protestanci wychwytyją i wykorzystują napięcia istniejące w społeczeństwach. Lewica dąży do absurdalnych celów, ale wyszukiwanie przez nią słabości jest bezcenne.

Kryzys jest błogosławieństwem. Przynosi oczyszczenie. Zło chce zła, a Bóg wyprowadza ze zła dobro. Trwa feministyczna agresja na małżeństwo i rodzinę. Pismo święte mówi jasno: równa godność, różne powołania. Cokolwiek sądzisz, mężczyzna nie urodzi.

Od roku siedzę w domu dla ważnych racji, moja żona po dwóch dekadach wróciła na rynek pracy. Zamiana ról nie odbiera mężczyźnie męskości, a kobiecie kobiecości. W duecie jedna osoba musi podejmować ostateczne decyzje. Ale nie oznacza to przyzwolenia na łamanie woli kobiety. Władza jest służbą. Mądrze słuchać i nie przywiązywać się do swoich pomysłów. A tu dochodzi jeszcze miłość i jedność. Tylko bezinteresowna miłość nie zawłaszcza drugiej osoby.

Należysz do siebie. To najważniejsza prawda feminizmu. Po prostu prawda. A najważniejsze kłamstwo? Skąd ma pochodzić „kobieca moc” czerpana nie z miłości, zaufania czy wspólnoty?

Robert Tekieli, Polskie Radio



Surwenność lasów stale w niebezpieczeństwie

Jest 2010 r. Al. Ujazdowskimi w Warszawie maszeruje kilkadziesiąt tysięcy leśników. Protestują przeciwko pomysłowi ówczesnego rządu, by Lasy Państwowe włączyć do sektora finansów publicznych. Pomysł spotkał się z ich ostrą krytyką. Wiedzieli, że kryje się za nim coś więcej – demontaż sprawnie działającej organizacji, po to by uczynić ją niewydolną, doprowadzić do destabilizacji, a następnie niechybnie oddać w obce ręce.

ZDESTABILIZOWAĆ, SPRYWATYZOWAĆ

– Lasy Państwowe musiały kłuć w oczy różne neoliberalne środowiska, i to nie tylko krajowe. Jeszcze w latach 90. pojawiały się idee, by potraktować grunty w zarządzie naszej organizacji jako zamienne mienie reprivatyzacyjne. Lawina koncepcji na zmiany, a w istocie na zamach, ruszyła od 2010 r. – wspomina Józef Kubica, dyrektor generalny Lasów Państwowych.

Wtedy ze wsparciem ruszył nieodżałowany prof. Jan Szyszko. Zmobilizował środowisko leśne do sprzeciwu przeciw włączeniu finansów Lasów Państwowych do sfery budżetowej – czyli *de facto* ich pauperyzacji – a od listopada 2010 r. ruszyła akcja zbierania podpisów w obronie polskich lasów.

Profesor Szyszko nie miał wątpliwości, że chodzi o prywatyzację, czyli dobrze znaną powtórkę scenariuszy początku lat 90. – Doprowadzić do upadłości, a potem kupić za grosze i to jeszcze w atmosferze wybawiciela, który ratuje przed ostatecznym upadkiem – przypomina słowa męża Krystyna Szyszko, żona i depozytariuszka spuścizny tego wielkiego Polaka.

Ostatnie wydarzenia wokół Lasów Państwowych, związane z próbą odebrania Polsce prawa zarządzania lasami, to nic nowego. Zakusy na Lasy Państwowe trwają już od dawna

NIEUSTAJĄCA MOBILIZACJA SPOŁECZNA

W połowie października 2010 r. profesor przedstawił też projekt uchwały w sprawie ogłoszenia referendum na temat propozycji rządu dotyczącej włączenia Lasów Państwowych do jednostek sektora finansów publicznych. Oczywiście obóz władzy pomysł storpedował.

Podpisy przeciwko prywatyzacji lasów zbierali pracownicy Lasów Państwowych, studenci, uczniowie, pracownicy organizacji pozarządowych, koła Radia Maryja, Polski Związek Łowiecki, organizacje kombatanckie i wojsko. Po roku podpisów było 0,5 mln.

Mobilizacja społeczna była potrzebna, bo co nie udało się w 2010 r., miało zostać zrealizowane rok później, w sposób niezwykle miękki. Chodzi o postulat Rady Programowej II Europejskiego Kongresu Finansowego, który mówił o Funduszu Majątku Państwowego. Byłby on wykorzystany do stworzenia Funduszu Gwarancyjnego Rozwoju Infrastruktury. Miał tam trafić majątek skarbu państwa, a więc i Lasów Państwowych. – Szczęśliwie i ten pomysł udało się zdusić dzięki mobilizacji społecznej – przypomina Józef Kubica.

HARACZ

Ale zbiórki podpisów nie zaprzestano. W 2014 r. już 2,5 mln Polaków wypowiedziało się w obronie lasów! – Mąż podkreślał, że podpisy były zbierane w hołdzie Janowi Pawłowi II. Dlatego

że stawał on bardzo mocno w obronie polskich lasów – mówi Krystyna Szyszko.

Podpisy i zainteresowanie sprawą polskich lasów przydały się właśnie w tym roku, gdyż rząd PO-PSL przypuścił serię zamachów na Lasy Państwowe. W lutym 2014 r. przeszła nowelizacja ustawy o lasach, która ściągała z LP jednorazowo haracz na łączną kwotę 1,6 mld zł – 800 mln zł w 2014 r. i 800 mln zł w 2015 roku. A następnie nakazywała im przekazywanie od 2016 r. 2 proc. od wartości sprzedaży drewna. „Nałożony na Polskie Lasy Państwowe haracz jest nie do udźwignięcia – mówił wówczas Radiu Maryja Jan Szyszko. – To jest skumulowany zysk czteroletni, który jest przeznaczony na działalność gospodarczą. Sytuacja rzeczywiście jest niebezpieczna. Lasy Państwowe są zmuszane do większego pozyskania drewna. Jednak nie ma to w tej chwili specjalnego wpływu dlatego, że o ile nie zostanie przekroczony 10-letni plan pozyskania, to wszystko jest w porządku”.

NOCNA PRÓBA SPRZEDAŻY LASÓW

Kilka miesięcy po uchwaleniu nowelizacji rząd PO-PSL chciał wpisać polskie lasy do konstytucji. Pozornie chodziło o zabezpieczenie przed prywatyzacją, ale *de facto* – otwierało do niej drogę.

Pomysł zakładał dodanie do ustawy zasadniczej punktu 74a w brzmieniu: „Lasy stanowiące własność skarbu państwa nie podlegają przekształceniom własnościowym, z wyjątkiem przypadków określonych w ustawie”. Głosowanie odbywało się nocą z 17 na 18 grudnia 2014 r. – Byłem wtedy w Sejmie i dobrze pamiętam trafne pytania, które zadawał prof. Szyszko – wspomina dyrektor Kubica. – Wmawiano nam, że lasy stanowiące własność skarbu państwa nie będą podlegały przekształceniom własnościowym, ale chodziło dokładnie o coś innego. „Z wyjątkiem przypadków przewidzianych w ustawie”. W której ustawie? W tej, która dopiero miała powstać i sprywatyzować lasy.

Ostatecznie konstytucji nie zmieniono. Podczas głosowania zaledwie pięć głosów przechyliło szalę.

EKOTERRORYŚCI NIE PRÓŻNUJĄ

Agdy zawodzą narzędzia wpływu politycznego, do gry wkracza pospolite ruszenie. Tak jak w Puszczy Białowieskiej w 2016 r.

Edward Siarka, wiceminister klimatu i środowiska mówi: Lasy Państwowe opiekują się Puszcza Białowieską od blisko 100 lat. Staraniem leśników utworzono Białowieski Park Narodowy, a potem liczne rezerwy. To oni odnawiali puszcę po dewastacyjnych wyrębach Niemców, Rosjan czy brytyjskiej kompanii The Century. Przywrócili puszczy, a potem innym polskim lasom żubra. Chronili ją przed różnymi zagrożeniami i gospodarowali w niej według zaleceń naukowców, by odtwarzać jej jak najbardziej naturalny, zróżnicowany charakter. Pozyskiwali też drewno dla lokalnej społeczności, nie zagrażając przy tym trwałości i bogactwu przyrodniczemu puszczy.

Ale część aktywistów ekologicznych, naukowców i mediów próbowała wmówić Polakom, że to leśnicy niszczą Puszcza Białowieską, pomawiała ich o najgorsze intencje i postęпки. Przykuci do maszyn, drzew, zablokowali jedyną skuteczną możliwość walki z gradacją kornika drukarza. – W ten sposób, zamiast w porę usunąć kilkadziesiąt, kilkaset zainfekowanych drzew,

doprowadzili do tego, że w puszczy obumarło kilka milionów drzew. Pod kuratelą Unii Europejskiej zdezwuowano dorobek Lasów Państwowych i wielu pokoleń leśników i sprowadzono na puszcę zagładę – mówi Kubica.

ZAMACH I ATAK HYBRYDOWY

W sierpniu ub.r. tylko szczęście uratowało leśnika w Nadleśnictwie Cisna przed poważnymi obrażeniami, gdy piłą natrafił na wbity w drzewo gwóźdź. Fragmenty metalu zostały dostrzeżone stosunkowo wcześniej. Brakowało chwili, by pędzący łańcuch eksplodował i zranił pracujących wokół ludzi. Zranił albo usmiercił. Po sprawdzeniu okolicznych drzew detektorami metalu leśnicy znaleźli jeszcze cztery jodły z ponabijanymi gwoździami. Niektóre miały wbity metal wysoko, co poszerzało krąg potencjalnych ofiar ekoszaleńców o pracowników tartaku i stolarzy, gdyby takie drzewo do nich trafiło.

Pseudomiłośnicy natury nie mają obiektywności, by wbijać gwoździe w rosnące drzewa. Gdzie mają wówczas deklarowaną miłość do przyrody? – Agresja pseudoekologów zagraża już bezpośrednio zdrowiu i życiu leśników. Nasilenie ich przestępczych działań to także wynik przyzwolenia na takie zachowanie ze strony oficjalnych organizacji ekologicznych, które już nie tylko rozpowszechniają nieprawdziwe lub zmanipulowane informacje o działalności Lasów Państwowych, lecz także same zaczęły przekraczać prawo – podkreśla rzecznik Lasów Państwowych Michał Gzowski.

Wtedy leśnikom wydawało się tylko, że przeciwko Lasom Państwowym rozpoczęły się zaplanowane działania hybrydowe, mające narzucić polskiej opinii publicznej, że leśnicy, stojący przeciw na straży naszych lasów od prawie 100 lat, są zagrożeniem dla polskiej przyrody i należy to przedsięwzięcie zlikwidować.

– Dziś już nie mamy najmniejszych wątpliwości – podkreśla Michał Gzowski. – Wykorzystywane są do tego polskojęzyczne media i popularne serwisy społecznościowe. Lasy Państwowe nie kryją bowiem swojego sprzeciwu wobec unijnych planów wprowadzenia katastrofalnego dla polskiej gospodarki pakietu klimatycznego „Gotowi na 55”, którego konsekwencją będzie m.in. upadek przemysłu drzewnego, bezrobocie dla prawie 0,5 mln osób i wprowadzenie zakazu wstępu do co dziesiątego lasu w Polsce. My mówimy temu „nie”, dlatego staliśmy się wrogiem numer jeden dla międzynarodowych organizacji ekologicznych.

To dlatego, gdy po uchwale Komisji Europejskiej odbierającej decyzyjność polskim leśnikom i skandalicznym wyroku unijnego Trybunału Sprawiedliwości była potrzebna kolejna mobilizacja społeczna i kolejna zbiórka podpisów, Polacy, świadomi tego, jakie siły czyhają na polskie lasy, nadzwyczajnie się skrzyknęli. – Przez kilka wiosennych tygodni Polacy zebrali pół miliona podpisów w obronie polskich lasów! Dziękujemy wszystkim zaangażowanym.

Andrzej Dąbrowski



Lasy Państwowe

Bezpieczne małe reaktory jądrowe zmienią polską energetykę

Transformacja energetyczna Polski jest z pewnością jednym z największych wyzwań z obszaru gospodarczego w historii naszego kraju. Skala przedsięwzięcia, która ma pozwolić na odejście od wysokoemisyjnej produkcji energii opartej na węglu w kierunku źródeł nisko i zeroemisyjnych, jest ogromna, ale kilka pierwszych ważnych kroków na tej drodze jest już za nami – znamy technologię, która będzie filarem transformacji, i wiemy, kto będzie odpowiedzialny za powstanie nowych, przyjaznych dla środowiska i wydajnych elektrowni

Podstawą tzw. nowoczesnego miksu energetycznego w naszym kraju będzie energetyka jądrowa – czysta środowiskowo, a jednocześnie gwarantująca stabilność dostaw prądu i ciepła. Oprócz dosyć trudnych w budowie dużych elektrowni jądrowych na terenie Polski powstanie kilkadziesiąt mniejszych obiektów.

MAŁY ATOM, WIELKA SPRAWA

Małe modułowe reaktory jądrowe SMR, bo o nich mowa (z angielskiego: small modular reactors) to jednostki, których niewielkie rozmiary zajmują 10-krotnie mniejszą powierzchnię niż wymagana do budowy tradycyjnej wielkoskalowej elektrowni jądrowej. Przykładowo, blok energetyczny SMR, składający się z budynku reaktora, maszynowni, nastawni oraz budynku zaplecza remontowego maszynowni, zajmuje jedynie powierzchnię porównywalną do boiska piłkarskiego. Ten niewielki obiekt jest jednak w stanie dostarczyć elektryczność i ciepło niezbędne dla miasta o populacji 150 tys. osób.

Co więcej, produkcja tej energii nie generuje dwutlenku węgla. Oznacza to, że w ciągu 60 lat pracy pojedynczy reaktor SMR pozwala zaoszczędzić emisję 175 mln ton CO₂, które inaczej zostałyby wyemitowane przez konwencjonalną elektrownię. Ogromną zaletą nowej tech-

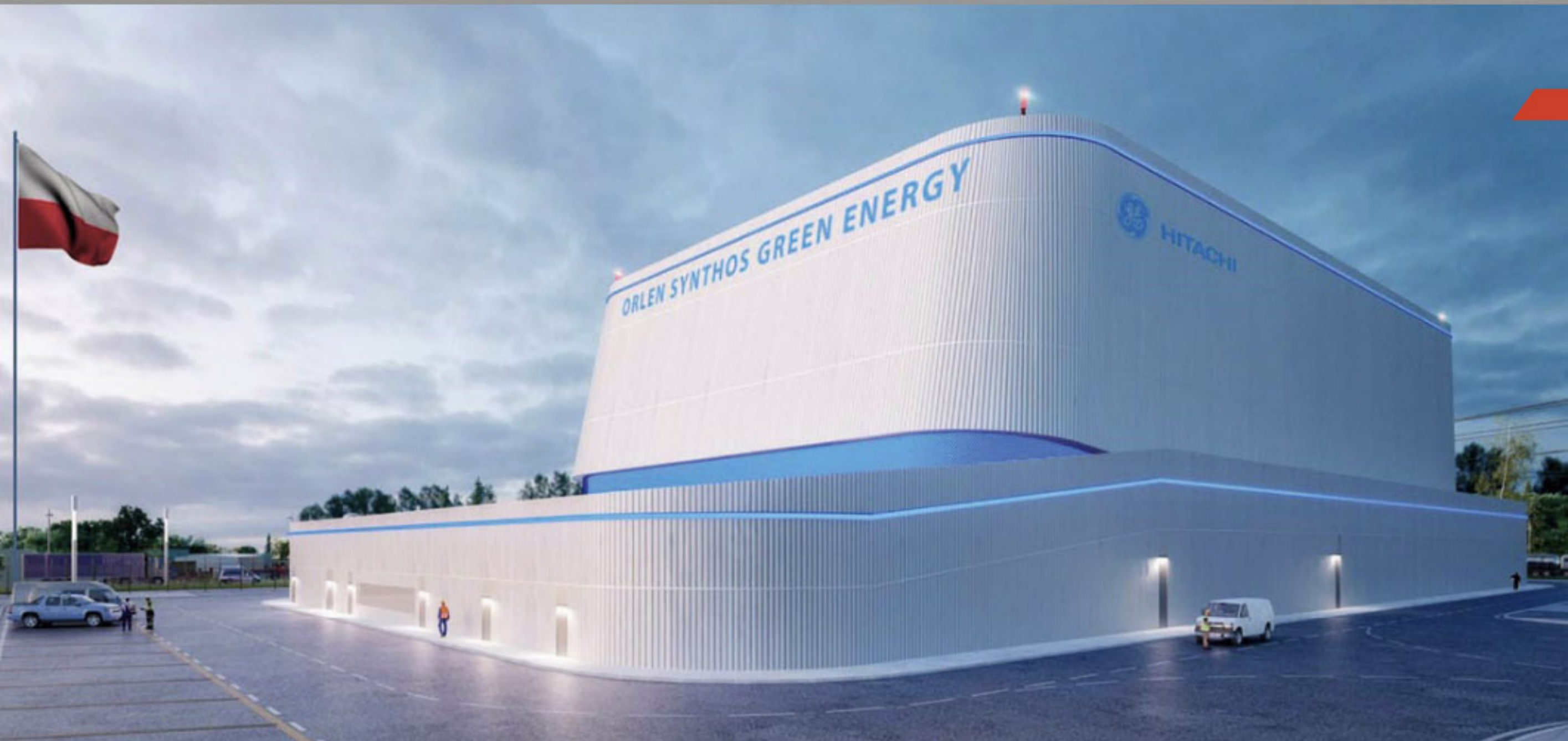
nologii jest również bezpieczeństwo. SMR są wyposażone w tzw. pasywne systemy bezpieczeństwa, które zapewniają chłodzenie reaktora nawet w przypadku braku zasilania zewnętrznego. Wykorzystują one powszechne i niezawodne prawa fizyki, takie jak grawitacja lub różnica ciśnień. Oznacza to, że w przypadku awaryjnego wyłączenia jednostki może ona bezpiecznie funkcjonować przez wiele dni bez konieczności interwencji człowieka. Sam reaktor jest umieszczony głęboko, aż 35 m pod ziemią. Takie rozwiązania umożliwiają pełną bezpieczną eksploatację oraz ułatwiają znalezienie odpowiedniego miejsca na lokalizację SMR.

Korzyści z wdrożenia BWRX-300

- Stabilne, zeroemisyjne źródło energii elektrycznej i ciepła zapewni utrzymanie konkurencyjności polskiego przemysłu.
- Ponad 50 proc. elementów SMR można wyprodukować w Polsce w stworzonych fabrykach komponentów.
- BWRX-300 jest obecnie jedyną dostępną technologią mogącą zastąpić wyłączane bloki węglowe i zagwarantować stabilną produkcję energii elektrycznej.
- To również jedyne realne rozwiązanie dla transformacji i dekarbonizacji ciepłownictwa.
- W nowej branży zatrudnienie znajdzie ok. 30 tys. osób.

ZE ZGODĄ MIESZKAŃCÓW

W rozwój zeroemisyjnej energetyki jądrowej, mającej zapewnić Polkom i Polakom dostęp do bezpiecznej, taniej i czystej energii oraz stworzyć nowe atrakcyjne miejsca pracy, angażuje się ORLEN Synthos Green Energy. Spółka przeprowadziła już analizę kilkudziesięciu potencjalnych lokalizacji pod budowę małych bloków jądrowych. Na obecnym etapie wytypowano siedem optymalnych lokalizacji, w których będą prowadzone dalsze badania. Po potwierdzeniu ich potencjału priorytetem będzie nawiązanie dialogu z lokalnymi społecznościami w każdej z tych lokalizacji. Co istotne, decyzje dotyczące realizacji bezpiecznych i przyjaznych



środowisku inwestycji zostaną podjęte dopiero po osiągnięciu porozumienia z lokalnymi społecznościami.

NA 60 LAT CO NAJMNIJ

Mała energetyka jądrowa oferuje dostęp do taniej energii. Szacuje się, że koszt produkcji 1 MWh energii elektrycznej z małego bloku będzie docelowo wielokrotnie niższy niż w przypadku energii pochodzącej z gazu. Jeden taki blok może zaspokoić potrzeby ok. 300–350 tys. gospodarstw domowych. Wykorzystanie nowoczesnej amerykańskiej technologii BWRX-300 gwarantuje również wysoką wydajność. SMR będzie w stanie nieprzerwanie wytwarzać energię przez 60 lat z możliwością przedłużenia produkcji nawet do 90 lat.

Inwestycje w małą energetykę jądrową umożliwiają szybką i skuteczną transformację energetyczną. Nowoczesne instalacje zapewniają w pełni bezpieczną produkcję czystej energii. Ze względu na ich neutralność dla środowiska wiele bloków jądrowych na świecie jest budowanych w pobliżu dużych miast lub ich centrów. Przykładem jest budowany obecnie SMR w Darlington w Kanadzie, który powstanie zaledwie 5 km od Oshawy, miasta o populacji liczącej 140 tys. mieszkańców. Do 2030 r. ORLEN Synthos Green Energy planuje wybudować co najmniej jeden blok oparty na technologii BWRX-300, który będzie drugim tego typu obiektem na świecie, po wspomnianym wcześniej kanadyjskim Darlington. Spółka posiada wyłączność na tę technologię w Polsce.

– Jestem przekonany, że przekształcenie polskiego miks energetycznego z gospodarki opartej na węglu w kierunku

Daniel Obajtek,
prezes zarządu PKN ORLEN

Kluczowe poparcie społeczne

Polska gospodarka potrzebuje taniej i czystej energii, by mogła być nowoczesna i konkurencyjna. Dlatego podejmujemy konkretne działania, które realnie przybliżają nas do tego celu. Mała energetyka jądrowa to nie jest już tylko wizja przyszłości. Do 2030 r. chcemy zbudować w Polsce co najmniej jeden nowoczesny i w pełni bezpieczny SMR. Wytypowaliśmy kilkadziesiąt potencjalnych lokalizacji, w których możliwa byłaby realizacja tej strategicznej inwestycji. Dostrzegamy duże zainteresowanie samorządów, świadomych płynących z niej korzyści. W pierwszym etapie wybraliśmy siedem najbardziej perspektywicznych miejsc. Kluczowe dla nas jest jednak poparcie społeczne, dlatego będziemy prowadzić otwarty dialog z mieszkańcami i to on zadecyduje o wyborze finalnych lokalizacji. A jest o co powalczyć, bo każdy blok to ok. 100 miejsc pracy w samej elektrowni i ok. 1 tys. w regionie, to także bezpieczna i tania energia oraz dodatkowe wpływy do lokalnych budżetów.

bezemisijnym, z wykorzystaniem energii jądrowej, a także wspieranie ciepłownictwa miejskiego i ciepłownictwa przemysłowego będzie wymagało w Polsce floty jednostek BWRX-300. Dzięki unowocześnionemu designowi są one najbezpieczniejszą technologią SMR dostępną obecnie na świecie – mówi Jay Wileman, prezes GE Hitachi Nuclear Energy, jednej z najbardziej doświadczonych firm w branży energetycznej na świecie, która jest dostawcą technologii dla ORLEN Synthos Green Energy.

BOGATY ŁAŃCUCH DOSTAW, SETKI MIEJSC PRACY

Realizacja inwestycji przez spółkę ORLEN Synthos Green Energy wiąże się z zaangażowaniem co najmniej kilkudziesięciu polskich firm, które włączą się do łańcucha dostaw. Co więcej, inwestycja przyczyni się do powstania setek nowych miejsc pracy w różnych branżach. Oprócz stanowisk dla wysoko i średnio wykwalifikowanej kadry w samej elektrowni zatrudnienie znajdą również mieszkańcy miejscowości, w których będzie realizowany projekt, w ramach prac budowlanych czy transportowych. Dostępność taniej energii i pewność dostaw będą również zachętą

dla inwestorów. Ponadto lokalne samorzady zyskają dodatkowe wpływy do budżetu, co umożliwi im dofinansowanie placówek służby zdrowia, przedszkoli, szkół, domów kultury i innych ważnych inicjatyw dla mieszkańców. W technologię SMR inwestuje kilkanaście państw z całego świata, w tym: USA, Wielka Brytania, Francja, Czechy, Estonia, Litwa, Finlandia i Rumunia.

Nie podpisujemy się pod nierealnymi planami Brukseli

*Na takie szaleństwo jak odpływ przemysłu z powodu wysokich cen energii na skutek polityki klimatycznej Europa nie może sobie pozwolić – mówi **prof. Władysław Mielczarski** z Politechniki Łódzkiej w rozmowie z Agnieszką Łakomą*

Rząd proponuje pakt energetyczny. To jak próba pogodzenia niemożliwego, czyli skutecznej transformacji, utrzymania węgla w energetyce i zapewnienia taniej energii. Czy to więc realny program?

To rozsądny program, ale wiele zależy od realizacji. Musimy w Polsce skupić się na tym, by energia w ogóle była dostępna w kolejnych latach, czyli na bezpieczeństwie. Wbrew pozorom te wszystkie elementy są do pogodzenia. Dziś – nawet uwzględniając opłaty za emisję CO₂ – koszty produkcji energii z węgla są niskie, więc nie możemy z niej zrezygnować. Odnawialne źródła będziemy rozwijać, ale są kosztowne i niestabilne. Z kolei regulacja cen energii staje się czymś naturalnym, bo wolny rynek to niestety coraz bardziej fikcja.

Wicepremier, minister aktywów państwowych Jacek Sasin zapewnia, że energia w Polsce nie może stać się towarem luksusowym, a ludzi musi być stać na płacenie rachunków za prąd i ogrzewanie. Taka zapowiedź oznacza utrzymanie cen energii na poziomie dotychczasowym lub niewiele wyższym. Jak pan to ocenia?

To nie jest zły pomysł, bo reguły rynkowe już dawno zostały mocno ograniczone, i to głównie przez decyzje Komisji Europejskiej. Zaczęło się od

ingerencji w rynek przez wprowadzenie systemu handlu emisjami CO₂, a ich koszty stały się jednym z elementów ceny energii. Potem Bruksela znów ingerowała, wprowadzając subsydiowanie zielonej energii, czyli z odnawialnych źródeł, bo są drogie i tylko przez system dopłat mogła zachęcić do tych inwestycji. Zatem rynku – w prawdziwym tego słowa znaczeniu – w europejskiej energetyce już nie ma. Mówię to z pełnym przekonaniem i żalem, ponieważ byłem jedną z osób, które w Polsce wprowadzały rynek energii elektrycznej. Obecnie ten „niby rynek” podlega różnym oddziaływaniom, przede wszystkim politycznym, tak że cena energii ma niewiele wspólnego z rzeczywistymi kosztami.

Wszyscy, także w Brukseli, zdają sobie z tego sprawę. Ale nie sądzę, by któryś kraj UE powiedział: „To koniec rynku, więc ustalimy sami ceny prądu”. I od tej pory będzie tanio.

A dlaczego nie? Uważam, że w Polsce należałoby zawiesić działanie rynku energii elektrycznej na kilka lat. Już tak się stało ze względu na spekulacje cenowe pod koniec 2022 r. Sytuacja jest nadal nadzwyczajna, związana z możliwością zagrożenia bezpieczeństwa. Nie chodzi o to, że rząd wyjdzie i powie: „Nie ma już rynku”. Mógłby on działać w dwóch segmen-



Fot. Archiwum prywatne

tach. W pierwszym – elektrownie konwencjonalne otrzymywałyby należności na pokrycie kosztów produkcji energii plus oczywiście marżę, np. 10 proc. W drugim – producenci zielonej energii sprzedawaliby ją na aukcjach w systemie taryfowym. Taki system gwarantowałby im zysk, ale na pewno nie tak wysoki jak obecnie. Teraz sprzedają energię OZE nawet trzy czy cztery razy drożej od ceny z aukcji, czyli trzy- i czterokrotnie powyżej kosztów produkcji. A płacimy za to wszyscy jako odbiorcy energii: i każda rodzina, i każda firma.

Jeśli rząd wprowadzi takie rozwiązanie, to natychmiast do Brukseli popłynie lawina skarg nie tylko od właścicieli farm wiatrowych i słonecznych. I zaczną się naliczanie Polsce kar.

Przypominam, że mamy wyjątkową sytuację geopolityczną. W ub.r. doprowadziła do na tyle kryzysowej sytuacji, że Komisja Europejska zgodziła się na zamrożenie cen energii i gazu w krajach unijnych. Ale wojna trwa, sytuacja jest niestabilna i nie wiadomo, jak długo jeszcze tak będzie. Jeśli nie chcemy, by od przyszłego roku ceny prądu wystrzeliły w górę, kiedy zostaną uwolnione, to trzeba wprowadzić mechanizm stabilizujący. I powinien obowiązywać przynajmniej do 2030 r. To rozwiązanie, o którym wcześniej mówiłem, jest właśnie takim mechanizmem. Wtedy faktycznie będzie można mówić, że jeden z głównych elementów paktu energetycznego i zapowiedź wicepremiera Sasina są realizowane.

Pakt energetyczny zapewne zostanie skrytykowany przez Komisję Europejską, która stawia na dekarbonizację, czyli likwidację energetyki węglowej i wzrost OZE. Jakie Polska jako państwo członkowskie UE ma szanse na to, by pójść „własną drogą” w energetyce?

Ważne, byśmy jako kraj nie byli bierni i nie podpisywali się pod nierealnymi planami. Weźmy pod uwagę oczekiwania Brukseli, a także przedstawmy rozsądne argumenty. Polska choćby ze względu na skalę koniecznych zmian powinna być inicjatorem dyskusji w UE o tym, czy te wszystkie plany transformacji energetycznej – Fit for 55, RePower EU – będą skuteczne i jak pokonać bariery z nimi związane. Powinniśmy proponować rozwiązania i stworzyć wspólny front z krajami, które podobnie jak my widzą problemy.

Jakich argumentów możemy zatem użyć?

Podstawowy jest taki, że nie ma technicznych możliwości przyłączenia

do sieci tylu odnawialnych źródeł, ile zakładają unijne strategie. I to nawet przy najlepszych chęciach operatorów systemów do ich rozbudowy. Według raportu Urzędu Regulacji Energetyki tylko w 2022 r. operatorzy sieci ponad 7 tys. razy odmawiali przyłączenia źródeł odnawialnych do sieci. Już teraz widać, jak OZE nie tylko w Polsce mogą rozkołysać łódkę, czyli cały system. Od 40 lat zajmuję się bezpieczeństwem pracy systemu i wiem, że nadmiar OZE nie zapewni

Nie ma technicznych możliwości przyłączenia do sieci tylu odnawialnych źródeł, ile zakładają unijne strategie

stabilnych dostaw energii, wręcz przeciwnie. Dlatego też mamy drugi argument w rękę, czyli konieczność utrzymania energetyki węglowej. Nie możemy pozwolić sobie na likwidację kopalń. Energia z węgla jest tania – ok. 300–400 zł za 1 MWh, do tej kwoty dochodzą oczywiście koszty emisji, czyli paropodatek – ok. 500 zł za 1 MWh. Ten paropodatek od emisji zostaje w budżecie państwa, i to 30 mld zł rocznie. A zyski z wysokich cen OZE czerpią tylko inwestorzy i ich właściciele, a my mamy wysokie rachunki. I także warto pamiętać, że najtańszy węgiel jest ten własny. Lepiej za tonę płacić 500 czy 700 zł niż 300 dol., bo tyle zażądają dostawcy zagraniczni, kiedy zamkniemy kopalnie.

Co zrobić, by Komisja Europejska i europarlament dostrzegły problemy związane z produkcją OZE?

Jak poważnym problemem jest utrzymanie stabilnego systemu, może najlepiej zobrazuje konkretny przykład. Otóż dwa tygodnie temu Polskie Sieci Elektroenergetyczne musiały wyłączyć w naszym kraju część OZE,

bo ich produkcja była nadmierna i groźna dla pracy systemu. Obecnie można przyłączyć do sieci maksymalnie 3 tys. MW mocy odnawialnych. Plany są kilka razy większe. Wniosek: destabilizacja systemu jest bardzo realna. Polska powinna być inicjatorem dyskusji na ten temat na forum UE, bo to problem ogólnoeuropejski, dotyczy także Niemiec czy Wielkiej Brytanii. Zanim – tak jak chce Komisja Europejska – postawimy wszystko na OZE, trzeba przeanalizować, czy uda się odpowiednio rozbudować sieć, by nie było katastrofy i blackoutu. Europy ani tym bardziej Polski nie stać na to, by zabrakło prądu albo by odłączać zakłady, bo system będzie przeciążony i nie wytrzyma.

Na razie zamiast analiz mamy obligatoryjny nakaz, by do 2030 r. udział OZE w unijnym miksie energetycznym wynosił niemal 43 proc. Czy dopiero gdy „stanie się ciemność”, eurokraci zmienią podejście?

W Brukseli prędzej czy później nastąpi przebudzenie. OZE wymagają subsydiów i nie są wcale tanie, a koszty inwestycji to dziesiątki miliardów euro. Jeśli energia w Europie będzie droga i problemy z siecią spowodują wyłączenia prądu dla przemysłu, to te tzw. programy proklimatyczne trzeba będzie zrewidować. I co ciekawe, do tego mogą przyczynić się Stany Zjednoczone. Ze strategią dopłat i ulg podatkowych – IRA (Inflation Reduction Act) – mogą przyciągnąć wiele inwestycji z Europy, i powoli już to robią. Wiadomo, że wielka, europejska fabryka pomp ciepła przenosi się za ocean, a Niemcy o mały włos nie straciły budowy zakładu produkcji baterii do „elektryków”. Unia ze swoim potencjałem przemysłowym nie może zostać zmarginalizowana. Na takie szaleństwo jak odpływ przemysłu z powodu wysokich cen energii na skutek polityki klimatycznej Europa nie może sobie pozwolić. To już nie byłaby tylko kwestia spadku czy słabego tempa rozwoju gospodarczego, lecz także zagrożenie stabilizacji gospodarczej w ogóle.

PRZEZ ŚWIETLIK

Nóż w bańce

Fantastyczna sprawa te bańki informacyjne. Kiedyś trzeba było kombinować, manipulować, kręcić. Teraz można kłamać tak centralnie, w żywe oczy. Byleby z odpowiednią dozą nadęcia moralnego i kierując swoje kłamstwa przeciwko tym, co trzeba.


Weźmy taką panią Applebaum: „Każdy polski rząd od czasu uzyskania przez Ukrainę niepodległości w 1991 r. był niezwykle proukraiński. Jedynym wyjątkiem jest rząd PiS z lat 2015–2022, oni nie byli specjalnie blisko Ukrainy” – stwierdziła w rozmowie z tygodnikiem „Polityka”. Dla przypomnienia, jej mąż podczas wizyty w Kijowie w 2014 r.... a także podczas rozmów z Siergiejem Ławrowem... zresztą, co będę przypominał. Wszystko państwo wiecie, a czytelnicy „Polityki” ani o tym słyszeli, ani się dowiedzą. Można łąać, ile się chce, i odwracać kota ogonem.

Albo inna historia. Niedawno w Warszawie znany menedżer, kiedyś związany z tzw. środowiskiem pampersów, potem z Polsatem, a w międzyczasie z katolicką fundacją,



**Wiktor
Świetlik**

został zaatakowany nożem. Z Radia Zet dowiedziałem się, że doszło do „ataku nożownika w Warszawie. W tle Kościół i PiS”. Niejaki Portal Warszawski z kolei odkrył, że doszło do „kolejnego ataku na polityka pro-life”. Dodajmy, że równowagi tu nie ma żadnej. Portal Warszawski to była grupka facebookowa, inaczej niż ogólnopolska stacja, która odkryła, jak to pisowcy i katolicy tną się nożami. Wystarczyło krótko wczytać się w pojawiające się informacje, by pojąć, nawet będąc najbardziej nagrzanym redaktorem, że tragedia, do której doszło, nie ma nic wspólnego ani z PiS, ani z Kościołem, ani z życiem poczętym.

Mógłbym tak mnożyć. Jeden sposób to centralne, otwarte odwracanie faktów, jak robi to pan Tusk i jego medialna kamaryla w osobie pani Radkowej i innych. Druga metoda to taka portalowa. Jak ktoś złamał nogę i w pobliżu była przydrożna kapliczka, to się pisze „okaleczenie człowieka, w tle Kościół katolicki”. Do tego oczywiście obowiązkowe moralizatorstwo, wzmożenie i brak wątpliwości. W bańce one szkodzą najbardziej. 

OD A DO ZYBERTOWICZ

O Śląsku, czyli o życiu

„Kajs” to nie jest pierwsze dzieło tego autora. Jak na swój wiek (ur. 1989 r.) wiele problemów ujmując zaskakująco przenikliwie, z wyczuciem socjologicznym



Kajs. Opowieść o Górnym Śląsku – tę książkę Zbigniewa Rokity (Wydawnictwo Czarne 2020) czytałam trochę za długo. Z przerwami. Tak niefortunnie dla lektury czas się układał.

Jednak czy można się zmierzyć ze Śląskiem Rokity na raz? Oto pierwsze zdanie książki: „Moi przodkowie użyźniali sobą dzieje. Dzieje się na nich pasły i rosły tłuste i obłe”. Już „obłe dzieje” wywołują niemiły dreszcz. Chwilę później serwuje spostrzeżenie za Zbigniewem Kadłubkiem, profesorem Uniwersytetu Śląskiego, że Ślązacy to „osiadli nomadowie”, „tkwią w jednym miejscu tysiąc lat, zmieniają się tylko kraje, w których przychodzi im tkwić”. Śląskie *kajs* – to odpowiednik polskiego *gdzieś*. Sam autor nie kryje, że do śląskości dojrzał latami.

Książka w 2021 r. dostała Nagrodę Literacką Nike, a w I edycji Międzynarodowej Nagrody im. Witolda Pileckiego (też 2021 r.) otrzymała nominację w kategorii „Reportaż historyczny”.

Nigdy głębiej nie studiowałam problematyki śląskiej, choć rozmaitym kwestiom śląskim poświęcono cały kawał socjologii.

Autora „Kajs” wcześniej nie kojarzyłam. Ten specjalista – jak podaje wydawca – od Europy Wschodniej i Górnego Śląska jest niewątpliwie utalentowanym reporterem. Opowiada ze swadą. „Kajs” to nie jest pierwsze jego dzieło. Jak na swój wiek (ur. 1989 r.) wiele problemów ujmując zaskakująco przenikliwie, z wyczuciem socjologicznym. Uwzględnia liczne konteksty historyczne i polityczne. Ale tam, gdzie przebija tło dzisiejszej polityki, próżno szukać tej *czułości*, z którą autor wyświetla wątki rodzinne, sąsiedzkie oraz dylematy tożsamościowe. Przykładowo, nieraz napotkamy Jarosława Kaczyńskiego jako przerysowaną omnipotężną postać.

ZAWIĘLA UKŁADANKA

Podtytuł książki mówi, że jest o Górnym Śląsku. Ale co to dokładnie znaczy? Oczywiście to specyficzny region historyczny – miasta i wsie uwiecznione w granicach wyznaczonych rozgwarem burzliwej polityki i dziejów. Oto polsko-niemieckie pogranicze z początku lat 30. ub.w.: „linia podziału idzie przez środek studni” lub przez środek posesji – po niemieckiej stronie został dom, a po polskiej stoi wygódka. „W Niemczech się je, w Polsce wysrywa”. A przyłączenie Śląska do Polski trzykrotnie podniosło, mówią eksperci, nasz potencjał przemysłowy. Bez Górnego Śląska kluczowe dla odradzającej się Rzeczypospolitej projekty gospodarcze nie miałyby szansy na powodzenie.

Ten region to pokazowe laboratorium procesów specyficznych dla polskiego komunizmu i centralnie sterowanej gospodarki. Procesów, których

koszty płacimy do dziś. Śląsk to polityka i interesy. Kopalnie, które „odwiecznie” przynoszą zysk, ale trują i zabijają.

Wreszcie Górny Śląsk to ludzie i ich historie. Poplątane i często okrutne losy. Brutalne gwałty dokonane przez Sowietów po II wojnie światowej. Choroby i kalectwa. Życie na hałdach. Specyficzna gwara, przez niektórych traktowana jako odrębny język. Zryw tożsamościowy podczas narodowego spisu powszechnego w 2011 r. – blisko 850 tys. osób deklaroowało narodowość śląską.

„Pokręcić się po okolicy i spróbować złożyć to w całość”. Proste? Bynajmniej, autor dobrze to wie.

POTRZEBA ZAKORZENIENIA

Rokita opowiada swój Śląsk intymnie, czasem z rozbrajającą szczerością. Osnową opowieści jest drzewo genealogiczne przodków autora. Można się w tych koligacjach pogubić. Opisuje ich perypetie; czasem prawdziwe dramaty. Myślę, że dylematem nie jest tytułowe „gdzieś”, bo to wcale nie o jakieś zdefiniowane terytorium albo konkretne miejsce chodzi.

Może to perspektywa konkretnych ludzkich losów jest jedyną, która daje szansę zrozumienia specyfiki Górnego Śląska? Książka jest zadedykowana Marii Błażejowskiej. To babcia Zbigniewa Rokity. Bardzo ważna postać w życiu autora. Dla mnie to właśnie jej osoba jest kluczem do zrozumienia potrzeby uporządkowania śląskości jako źródła tożsamości. Ale nie chcę zdradzać ostatniej, przejmującej historii. Może ktoś z czytelników „Sieci” w tej książce sam się rozsmakuje.

Katarzyna Zybertowicz